

Zapowiedź następnej książki: **Beznadziejna sprawa**

*Wygnańcy my, z innej tułacze ziemi,  
Rzucił nas los.....*

*.....  
powrócić tam, o dobry Boże daj.*

## **Rozdział 1. Powrót do domu.**

Ranek 5 maja 1945. Transport wojskowy był dość duży i ciężki, a ciągnięty tylko przez jeden parowóz. Poruszał się więc wolno, w porywach jego prędkość osiągała może 30 km/godz., a przeciętnie utrzymywała się na takim poziomie, że biegnąc można było dogonić pociąg i do niego wskoczyć. Oczywiście, trzeba było do tego trochę wprawy, ale i tak, pociąg często stawał i potem znowu ruszał.

Żadne normalne pociągi, osobowe ani towarowe nie kursowały. Kolej była całkowicie pod zarządem wojskowym i służyła wyłącznie dla potrzeb armii, to znaczy Armii Czerwonej. A jednak formalnie kolej była polska, obsługiwana przez polskich kolejarzy i stanowiła odrębną organizację, chociaż podporządkowaną władzom wojskowym. Zdarzało się, że przejeżdżały pociągi z personelem rosyjskim, jak mówiono wtedy, radzieckim, ale normalnie załoga parowozu i pociągu była polska, a tylko eskorta wojskowa składała się zwykle z Rosjan, także na stacjach obok Polaków, funkcje nadzoru pełnił co najmniej jeden rosyjski komendant.

W tym pociągu za lokomotywą znajdowały się dwa wagony eskorty, jeden osobowy i jeden kryty, towarowy. Jednak żołnierzy sowieckich nie wiele się widziało. Co parę godzin, jeden z nich



przechodził wzdłuż pociągu do końcowego posterunku w budce, jaki wówczas bywały dobudowane do niektórych wagonów towarowych i z powrotem, zbierając po drodze pieniądze od cywilnych pasażerów. Przygodni podróżni zwykle wdrapywali się na wagony w czasie postojów, albo też, rzadziej, wskakiwali i wysiadali po drodze, gdy pociąg zwalniał. Kilka wagonów było krytych, a większość otwartych, to znaczy ładunek był przykryty brudno- szarymi plandekami, ale zwykle na końcach pozostawało trochę miejsca, na których siedzieli ludzie. Niektórzy siedzieli także na stopniach, a nawet stali na zderzakach, gdy ktoś przechodził cofali się, żeby zrobić miejsce. Ekskluzywne miejsca kategorii luksusowej, to były budki, a nieco gorsze stanowiły same ławeczki, przybudowane do końca niektórych wagonów.



Miejsce, które zajął Angus, przed kotłem parowozu, na metalowym przejściu koło reflektorów, dostarczało z początku niezwykłych wrażeń. Ale po niecałej godzinie miał już dosyć tego szczęścia, wrażenie lotu nad torami spowszedniało, a robiło się niewygodnie. To też na jednym z postojów wrócił do dalszego wagonu, być może tego, do którego najpierw wskoczył i przysiadł koło grupki rozmawiających, ale sam się raczej nie odzywał. Przysłuchiwał się tylko, otóż najwyraźniej wszyscy, bez wyjątku, walczyli z Niemcami nie było absolutnie nikogo, kto nie miałby bardzo ważnego udziału. Do licha, jak się to stało, że jemu tak trudno było do tej walki trafić, tyle daremnych wysiłków, straconego

czasu, tyle niepowodzeń i stresów, czasem rozpacz i depresji? Ale mniejsza o to, dzień robił się coraz piękniejszy, okolice również i przyjemnie tak było sobie siedzieć, jechać i słuchać, podziwiając bujnie rozkwitającą wiosenną zieleń. W gruncie rzeczy i towarzystwo było sympatyczne, ot, mówili co mieli na sercu, może trochę im się mieszało to, co by chcieli z tym, jak było naprawdę, ale co tam. W każdym razie, wszyscy jednomyślnie mieli najlepsze intencje.

Angus coraz bardziej się odprężał, oczy mu się przymykały i stopniowo tracił poczucie, gdzie się znajduje, jak Puchatek zaczynał być „gdzie indziej”. Niespodziewanie uświadomił sobie, że on, który przed wojną tak często podróżował koleją, wliczając w to dalekie wyprawy aż na koniec Polski, teraz od lat jakby zapomniał, że kolej w ogóle istnieje. Tak, właśnie tego ranka minęło dokładnie pięć i pół roku, gdy otworzyły się zadrutowane wrota wagonu bydłowego i Angus wyskoczył, a za nim jego matka wypadła na tory i po raz pierwszy rozbiła sobie głowę. Angus nie był pewien, czy żołnierz niemiecki tylko zamierzył się kolbą, czy też rzeczywiście zepchnął ją wtedy z wagonu. Od tego czasu, nie był ani razu w pobliżu pociągu.

Dojechali do Skarżyska i gdzieś koło południa ruszyli dalej, na północ. Angus ponownie zaczął drzemać, obudziły go śpiewy. Przeważnie partyzanckie piosenki no i „Serce w plecaku” z przed wojny, choć śpiewane rzadko w czasie okupacji, po wojnie stało się bardzo popularne. Słowa często różniły się od tych które on znał z partyzantki, niektóre zmieniono na wprost bombastyczne i z początku go to trochę denerwowało, ale ostatecznie nie istnieje przecież jeden uniwersalny wzorzec. Śpiewano wiele różnych odmian, a oprócz różnych słów, zdarzały się także różne wariacje fragmentów melodii..

Dojeżdżali właśnie do Końskich i Angusowi wydawało się, że poznaje miejsca, koło których przechodził przed około ośmioma miesiącami. Końskie były jedynym miastem Obwodu, które przez kilka dni były zajęte przez oddziały II dywizji AK, wprawdzie ani on sam, ani jego oddział nie byli w Końskich, ale ciągle miał wrażenie, że znajduje się w znajomych stronach. Jednak Angus nadal jako jedyny w przygodnej grupce prawie nie odzywał się, jedynie krótko wspominał, że jedzie odwiedzić rodzinę w okolicy Łodzi, dowiedzieć się, czy jeszcze żyją. O Poznaniu nie wspominał, wolał nie zostawiać za sobą śladu, nawet jeżeli nic nie wskazywało, by ostrożność była tutaj potrzebna. Najwyraźniej trafił na porządnych ludzi, prostych, ale myślących i czujących tak samo, jak on. Z drugiej strony, takie poczucie miał dotąd stale, więc niby dla czego musiał uciekać? Jak to na niego trafiło, jeżeli stykał się s samymi porządnymi i godnymi zaufania?

Pod wieczór okazało się jednak, że do Łodzi nie dojadą, a tylko w pobliżu. Wszyscy cywilni pasażerowie muszą wysiąść na stacji w Koluszkach, gdyż tam miała nastąpić zmiana, albo eskorta, albo tylko „komandir”. W każdym razie, odbędzie się inspekcja pociągu i nikt postronny nie może się zostać. Potem, można będzie spróbować szczęścia znowu, albo poszukać innej okazji. W każdym razie, w Koluszkach koniec, trzeba zniknąć.

Angus zdecydował się opuścić pociąg o siedem kilometrów wcześniej, w Słotwinach. Wsiadło tam kilkadziesiąt osób, Angus namyślał się, w ostatniej chwili zdecydował się zeskoczyć, kiedy już pociąg ruszył ponownie. W każdym razie, nikt po nim już z pociągu nie zeskoczył, więc niewątpliwie był sam i zgubił się skutecznie.

- Co za bzdury, - pomyślał, - oczywiście, że urwałem się na dobre. To oglądanie się za siebie, to wprost jakaś paranoja.-

Lepiej być za bardzo ostrożny, niż za mało, ale faktycznie nic mu nie groziło. Tzw. aparat ścigania znajdował się jeszcze w stanie kompletnego bałaganu. Raczej zajmował się tylko tym, co pod nosem, a co z oczu, to i z myśli. Angus nie był nikim ważnym, nie organizowano za nim poszukiwań, poza tym, ludzie aparatu ścigania wciąż się zmieniali, a o aktach nie warto nawet mówić. Jeszcze znacznie później, gdy więźniowie z tego okresu zostali uwolnieni przez „Szarego” z więzienia kieleckiego, nie umiano się ich doliczyć.

Ale, wolał być w mniejszej grupie, niż w tłumie. Kiedy w tych Koluszkach wysiądzie dużo ludzi, na pewno trudno będzie znaleźć miejsce na nocleg. Tutaj dowiedział się, że ten pociąg prawdopodobnie pojedzie dalej na północ, natomiast pociągi na zachód najlepiej łapać w Zduńskiej Woli, odległej podobno ok. 20 km. Przynajmniej tak twierdzili doświadczeni podróżnicy, którzy wybierali się na dawne ziemie niemieckie. Różnili się oni wyglądem od dotychczasowego mieszanego towarzystwa, sami mężczyźni, wielu młodych i prawie bez bagażu, podobnie jak on sam. Podobno jechali tylko się rozejrzeć i ewentualnie wybrać miejsce na osiedlenie, wtedy po raz pierwszy usłyszał słowo „szaber”. O tym jeszcze będzie mowa.

Angus odłączył się i poszedł, jak się mówiło, na „azymut”, właściwie na przełaj, zachowując kierunek na wyczucie. Ściemniało już dobrze, kiedy w Konstantynowie, w samotnej zagrodzie na peryferiach pozwolono mu przenocować w szopce na słomie, za 15 zł. Jeszcze drożej poszło z chlebem, za ćwierć bochenka zapłacił 20 zł, choć najpierw zrozumiał 10. Ale okazało się, że wynikło nieporozumienie, 10 zł to była cena za „ćwiartkę” bimbrowy, był tańszy od chleba. W każdym razie, to była prawdziwa spekulacja, taka, jakiej zwalczaniem

zajmowały się rzekomo różne komisje i grupy specjalne, widocznie niezbyt skutecznie. No cóż, Angus w drodze nie szukał kłopotów, a zapasy, jakie mu dała pani Jaruzyna, wydawały się wielkie, ale dziwnie szybko się skończyły. Fakt, że w drodze, gdy potrzebował informacji, albo chciał nawiązać lub przerwać rozmowę, zwykle zaczynał od poczęstowania współpodróżnych.

Po tych niekorzystnych transakcjach, rozpytał się o dalszą drogę. Zaraz po obudzeniu, nie rozmawiając już z nikim, wyruszył i doszedł do Zduńskiej Woli przed 9 rano. Wzdłuż torów, było już dość sporo ludzi, ale na razie żadnego pociągu.

Przynajmniej to jedno dobre, że Angus podróżował lekko, prawie żadnego bagażu, tylko ten nieśmiertelny plecak, a w nim jeden ciepły sweter i parę drobiazgów. Nieduży, ale z początku dosyć ciężki plecak, jak mawiał Puchatek, teraz była w nim tylko resztką chleba. Oprócz tego wiózł tylko starą teczkę, a w niej kilka zeszytów i ze dwa absolutnie bezcenne podręczniki, gdziekolwiek trafi, nie miał zamiaru przerywać nauki.

Robiło się już ciepło, słońce od rana się starało, więc odszedł trochę dalej i wybrał miejsce na trawie. Tory i ewentualny pociąg miał w zasięgu wzroku, ale na razie nic go nie zapowiadało. Więc najlepiej wygodnie odpocząć, a w ogóle okazja, żeby przemyśleć swoje położenie i plany na przyszłość.

Niespodziewanie, kiedy się położył, poczuł zapach trawy i ziemi,



naszły go wspomnienia z zeszłego lata i jesieni. Nigdy przedtem ani potem nie były takie wyraziste. Nawet nie wspomnienie, ale tęsknota, po prostu fizycznie pragnął wierzyć i walczyć, żeby obok byli ludzie, dzielący te same przekonania, nawet gdy obok padały kule i musiał wciskać się w ziemię. Nagły atak głupoty, po prostu histeria, Angus uderzył się parę razy pięścią, żeby to przerwać, zwłaszcza idiotyczne łyżki, które same kapały mu z oczu. –Bałwanie,- mówił sam do siebie, zachowujesz się, jakbyś miał nie prawie siedemnaście, ale siedem lat, jak rozkapryszone dziecko, Jak taki kretyń, osioł, cielę w ogóle może myśleć, że zdoła zrealizować jakiś cel. Nadawałbyś się, ale

do szkoły dla panienek, gdzie poglądono by cię po włoskach i może jeszcze dano cukierka na pociechę. -

Dlaczego tej dziwnej egzaltacji nie odczuwał wtedy? Chyba po prostu był za bardzo zmęczony, nie miał czasu na refleksje, z dnia na dzień myślał tylko o tym, czy wytrzyma dalszy wysiłek, czy da sobie radę fizycznie. A i to myślał krótko, bo w każdej chwili kiedy mógłby pomyśleć, zaraz wszystko się zacierało i zapadał w nicość, niekoniecznie nawet sen, ale jakoś wszystko się wyłączało. Właściwie, był taki czas, kiedy mógł myśleć, to wtedy, kiedy lekko draśnięta stopa zaczęła się paskudzić, nie mógł iść i umieszczono go w samotnej chałupie. Ale wtedy tylko wpatrywał się w swoją nogę, macał opuchliznę i z przerażeniem wsłuchiwał się, czy nie wystąpi charakterystyczne trzeszczenie, czy nie poczuje smrodu i czy w razie czego potrafi się zdobyć na to, żeby odrąbać sobie nogę. Ale po paru dniach okropnych obaw, chociaż stopa mocno spuchła i pulsowała bólem, wyraźnie okazało się, że ani opuchlizna nie zmienia barwy na ciemną, ani nie śmierdzi. Minęły koszmary o siekierze i pieńku, zamiast tego, sam przeprowadził znacznie prostszy zabieg, rozcięcia stopy zwykłą żyłką i wypuszczenia ropy. Najmniej przyjemna była dezynfekcja mocnym bimbrem, potem okazało się że znowu ocalał i wraca do zdrowia. Wtedy znowu rozwinął się kompleks, że jest niezniszczalny, że co jakiś czas spotykają go jakieś doświadczenia, ale potem czyjaś niewidzialna ręka wyciąga go z tego. Na tak zwaną rzeczywistość wprawdzie patrzy, ale tak naprawdę w niej nie uczestniczy. Jednym słowem to, co go tak pociągało w systemie Georga Berkeleya: świat zewnętrzny to tylko



wyobrażnia, naprawdę istnieję tylko ja sam i coś lub ktoś, kto dostarcza przeżyć, jakby przekazuje je telefonicznie albo nagrane na płycie. Od czasu do czasu, mogę nawiązać jakiś kontakt, albo się odwołać i wybłagać jakoś zmianę tych wrażeń, na lepsze.

Dosyć niespójne, w tym samym czasie przyszło mu do głowy, że jeżeli jednak zewnętrzny świat istnieje, wolałby po śmierci nie mieć ani

grobu, ani pogrzebu, Leżeć gdzieś bezimiennie, w lesie lub polu nie byłoby wcale źle. Wszystko jedno, czy istnieje się po śmierci, czy nie, pogrzeb i grób wydawały mu się czymś obcym i karykaturalnym.



„ ... ja żyć będę w kłosach zbóż ...”

Chyba, że grób mógłby się na coś przydać, choćby jako schowek. Od tego momentu na stałe uformowało się przekonanie, że warto pozostać jeszcze jakiś czas we wspomnieniach żyjących, być może jako trwała część ich osobowości, tak, jak on sam nieodłącznie zawierać będzie w głowie obraz swoich rodziców i co najmniej jeszcze jednej osoby. Natomiast tzw. materialne dowody pamięci, to po prostu prymitywny i niesmaczny przesąd. Oczywiście, najlepsza śmierć, to w chwili, gdy bez reszty skupionym się jest na czymś i nawet jej się nie zauważa. A potem, albo przestaje się być, albo nie. Ale ciało, niech pozostanie w spokoju, najlepiej gdzieś, gdzie nikt go nie znajdzie, niech pozostanie z naturą i stanie się jej częścią.

Jednak jemu, zapewne i to się nie uda. Patrząc wstecz, trzeźwo i obiektywnie, Angus zobaczył siebie jako nieudacznika. Wszystko, co sobie stawiał jako najważniejsze cele życia, nie udawało się. Owszem, jakby na pociech wychodziły mu od czasu do czasu cele drugorzędne, o które specjalnie się nie starał. Jakby nagrody pocieszenia. Na przykład uczył się, - no, jednak nie najgorzej. Ale sprawy główne, najważniejsze, nigdy, a w każdym razie nigdy za pierwszym razem. To nie kwestia szczęścia, nie wierzył w przypadki, a więc jakaś wada osobowości. Tymczasem inni ludzie, koło niego, osiągnęli bez trudu to, co jemu nie tylko sprawiało trudności, ale wprost kończyło się z reguły dostaniem po pysku od losu. Ewentualnie po pewnym czasie, przy drugim lub dalszym kolejnym podejściu, mogło się udać i dopiero wtedy widział, jakie to było proste i jakie błędy popełnił.

A jednak, każde takie niepowodzenie pozostawiało coś, właściwie na każdym niepowodzeniu uczył się i rozwijał. Od początku, od września 1939 r. Kiedy pod ostrzałem karabinów maszynowych wciskał się w bruzdy kartofliska i jednocześnie wymyślał sobie od tchórza. A

tymczasem, ostatecznie wyniósł coś z tego, nie lekceważenie niebezpieczeństwa – to byłaby czysta głupota – ale naturalny, rzeczowy instykt, powodujący, że automatycznie zachowywał się pod ogniem prawidłowo, wcale już nie potrzebując o tym myśleć.

Nie udało mu się dołączyć do żołnierzy, ale znowu czegoś się nauczył, co bardzo mu się później przydało. Strzelać – no nie, właściwie tylko poprawnie trzymać karabin i obchodzić się z nim. To też zostało mu na trwałe i w przyszłości okazało się ogromnie ważne.

A najgorsze chwile jego życia, kiedy ze wszystkich sił pragnął popełnić samobójstwo? Nie poradził sobie wtedy sam, to ojciec go zmusił, wyciągnął za włosy – wyniku, powstała bliska zażyłość z matematyką, a następnie, kolejno otwały się nowe światy. Każde niepowodzenie przynosiło rozpacz, okres depresji, a po pewnym czasie nowy powrót do życia i mobilizację, a w wyniku starania z całych sił, rozwój. Za każdy razem nauczył się czegoś i w rezultacie zyskiwał na wartości, nawet zaczynając od gorszego, poniżej przeciętnej poziomu.

Pewnie dla tego właśnie, drugie próby czasem się udawały, choć trzeba stwierdzić fakt, że nigdy nie dało się zrobić dokładnie tego, co sobie pierwotnie wyobrażał. Musiał przyznać, że te pierwsze marzenia nie mogły się spełnić, bo były naiwne i głupie, rzeczywistość wyglądała inaczej trzeba było najpierw się nauczyć, ocenić, co jest możliwe, a co nie. Ale, czyż tak nie jest zawsze? Trzeba od czegoś wyjść, istnieje coś takiego jak robocza hipoteza i dopiero potem, dzięki zyskanemu doświadczeniu dochodzimy bliżej prawdy.

A konkretnie teraz, też czegoś się nauczył, ma lepsze doświadczenie konspiracyjne. W Poznaniu, zacznie od początku, utworzy nową organizację albo znajdzie miejsce w istniejącej, potem nawiąże łączność z tą w Ostrowcu, będą się dalej rozwijać, aż trafią na główny nurt i nawiążą współpracę, podporządkują się, przyłączą. Poczul się emisariuszem. Nie uciekał, miał misję do wypełnienia

Jeden oddech zapachu świeżej trawy. Przecież to wszystko nie trwało długo, może kilkanaście, może parędziesiąt minut, a w tym czasie przeżył ponownie i uporządkował ważną część życia. W oddali zaczął się ruch. Ludzie wstawali i gromadzili swoje rzeczy. Najwyraźniej nadjeżdżał pociąg.

\* \* \*

Dalsza podróż to była rutyna, przebiegła gładko w ten sam sposób. Tylko pociąg był bardziej obsadzony, a wśród przygodnych pasażerów było więcej mężczyzn, zarówno samotnych jak i w małych grupkach. Częściej mówiono o tym, co i gdzie ludzie szabrują,

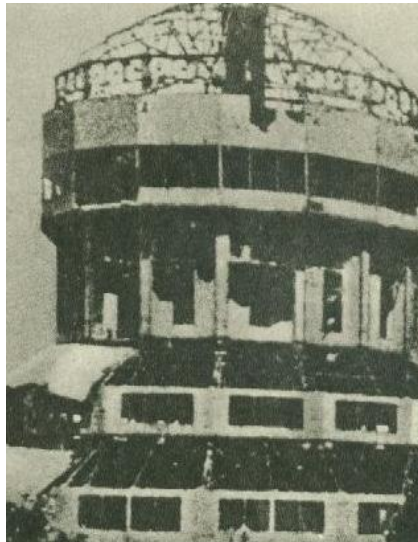
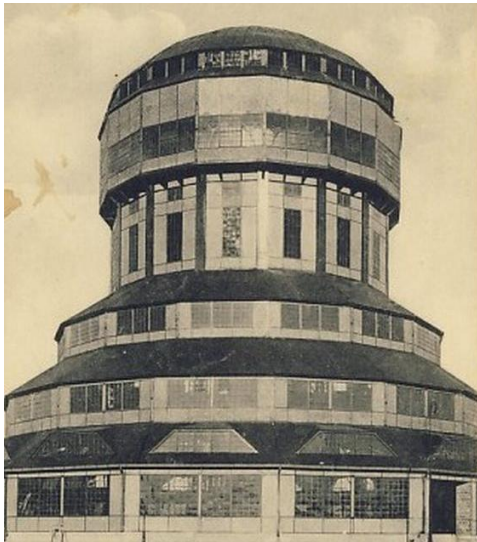
oczywiście inni. Pociąg jechał na zachód, w kierunku pustych dawnych ziem niemieckich, gdzie wszystko zostało porzucone. Jednak nawet ci wymieniający najbardziej fachowe uwagi twierdzili, że oni niczego nie szabrują. Owszem, jechali poza dawną polską granicę, ale po to, żeby się tam rozejrzeć, czy i gdzie można by się tam osiedlić, znaleźć dom lub mieszkanie, pracę, zbudować nowe życie. Ci, co się na to decydowali, to zwykle ofiary wojny, albo wszystko stracili i nie mieli gdzie żyć, albo pozostawiali za sobą złe wspomnienia czy tragedie, albo, jak Angus, woleli nie wyjaśniać czemu wyjeżdżali i podawali jakiś zmyślony powód. Jechali, gdzie żadne prawo na razie nie sięga, za to ze wszystkich stron czyhało niebezpieczeństwo i łatwo było zarobić kulkę lub kilka.

Po południu, tak mniej więcej od trzeciej, Angus zaczął rozpoznawać znajome nazwy stacji, czasami trochę się myliły, mętne skojarzenia, nie pamiętał kolejności, ale ogarniało go napięcie, poczucie podniecenia. Wyglądało, że jeszcze jednego noclegu po drodze nie będzie, że – niemożliwe- dzisiejszego dnia, niedługo – dojedzie do Poznania. Że ten Poznań, to nie jego wymysł, ale rzeczywistość i on już wkrótce, naprawdę tam będzie. Pociąg jakby też wyczuł te jego myśli, jechał mało co się zatrzymując. Wreszcie, zaczął wtaczać się do miasta.

Gdzieś koło godz. 19 zatrzymał się koło potrzaskanych peronów dawnego Dworca Letniego. Dworzec Główny, zniszczony ostrzałem i następnie doszczętnie wypalony, jeszcze długo miał stanowić ruinę, a potem częściową ruinę. Dworzec Zachodni, bardzo blisko położony i z którego często Angus przed wojną korzystał, też był zniszczony, ale szybciej dało się go odbudować. Ale co tam dworce, najważniejsze, że pociągi znowu jeździły wielkim wykopem po osi miasta, a Most Dworcowy, masywna żelazna konstrukcja w stylu secesyjnym, spinająca brzegi tego wykopu, był tylko lekko uszkodzony. W przyszłości, kiedy zaczęły jeździć normalne pociągi, prawdziwym dobrodziejstwem okazało się też, że tunel łączący dworce i perony nie zarwał się, chociaż oczywiście trzeba było usunąć mnóstwo gruzu.

A więc droga zajęła dzisiaj tylko około 11 godzin. Nie zbyt imponujące tempo na przebycie, może 190 km, ale i tak lepiej, niż się spodziewał. Stąd miał już żabi skok do domu. Angus zeskoczył z toczących się jeszcze wolno wagonów przy moście Dworcowym i wspiął się wprost po bocznej ścianie wykopu między osypującymi się gruzami, przekroczył żelazne listwy bariereki i ruszył najkrótszą drogą, uliczką przez teren Targów. Hale stały, nie wiele uszkodzone, tylko Wieża Górnoląska, wielka okrągła budowla, zakończona charakterystycznym grzybem poszerzonej kopyły, straszyla kompletną ruiną. Na taki widok

nie był przygotowany, przecież to był można powiedzieć, sztyld i sztandar, jeżeli nie przedwojennego Poznania, to przynajmniej Międzynarodowych Targów, przedstawiany na nieskończonej ilości plakatów i reklam. Więc zoczył i wszedł między poskręcane i surrealistycznie wygięte żelazne dźwigary, wiszące na słowie honoru parawany ścian. Ostatnie pożegnanie z starą znajomą.



Po odbudowie, tzw. Iglica.



W jakimś kącie zauważył zwinięty tłumoczek i poruszył go najpierw ostrożnie pętlą z kawałka kabla, a gdy nic się nie stało, zbadał z bliska. Okazało się, że to zwinięte ubranie, marynarka przerabiana z sukiennej bluzy „feldgrau” i czarne spodnie. Chyba rzeczy porzucone przez jakiegoś pośpiesznie przebierającego się w cywilne ubranie Niemca, ale nie wojsko, a raczej jakaś zmilitaryzowana służba pomocnicza. Może strażnik kolejowy, bo w kieszeni znajdował się typowy dla kolejarzy zegarek „Rosskopf”, ciężki, toporny ale niezawodny, w stalowej osłonie w kształcie plastra gruszki z mocno porysowanym, celuloidowym okienkiem. Angus uznał to za dobry znak, jego uszyte z worka spodnie, arcydzieło twórcze matki, o wielu zaletach, jednak trochę zwracały uwagę. Mógł w nich nadal chodzić, albo wreszcie teraz zmienić czasem na coś bardziej konwencjonalnego. W każdym razie, od wyjazdu z Ostrowca wyraźnie się wzbogacił.

W dalszej drodze, Angus nie zobaczył więcej dużych zniszczeń. Ulica Śniadeckich, na pierwszy rzut oka stała jak dawniej. Tyle, że tynki na domach były upstrzone dziurami, w środku których na tle czerwonej cegły tkwiła zwykle kula. No i jeszcze brakowało jednego bloku, właśnie obok bramy, w której mieszkał. Na tym miejscu znajdował się obecnie trawnik.

Półotwarta brama, wysoki parter, jedno piętro, drugie – i nie do wiary, znalazł się wprost przed tymi drzwiami, które przez pięć i pół lat tak często widywał w wyobraźni lub we snach. Tylko, na razie pozostały one zamknięte, nikogo w domu.

Usiadł, najpierw na parapecie okna nad zielonym podwórzem, dwa trawniki i żywopłoty, a dalej, za murem, perspektywa parku. Nic się nie zmieniło. Potem przesiadł się wprost na schody, były czysto zamiecione i też nie wiele zniszczone, wykładzina wyglądała tak samo, tylko zamiast mosiężnych listew, przybita takimi z białego metalu, a niektórych w ogóle brakowało. Już schody, były swojskie.

Oczy mu się dopiero zaczęły przymykać, gdy, nie zbyt późno, wrócił ojciec. Angus odczuł wielką radość, ale przywitali się krótko, po męsku. Ojciec miał wygląd bardzo zmęczony i zmarnowany, ale mimo to w siodle, pod napięciem. Rozpoczęło się nowe życie, to do którego lata tęsknił i jednocześnie nadawał się. (Bo jednak, co rozczarowało kiedyś Angusa, do bezpośredniej walki nie bardzo, mężczyzna koło sześćdziesiątki i raczej w kiepskiej kondycji.) Teraz jednak, robił to co umiał lepiej, niż ktokolwiek inny, niezastąpiony i czuł się odpowiednio. Przez sześć lat, czuł się poniżony, niepotrzebny, teraz wróciła po raz ostatni życiowa szansa, wielka fala. Bez względu na podłe warunki, potrafił wytrzymać prawie wszystko, trudności nie miały znaczenia.



Dyrekcja Kolejowa w Poznaniu, działała według starego schematu, prawie normalnie, ale na trzy razy większym, niż przed

wojną, terenie. Wydział budynków, w którym pracował ojciec, też miał prawie tą samą, co przed wojną obsadę, w tym stary, doświadczony personel, z przedwojennym szefem, ale odpowiednio więcej obowiązków. Oraz oczywiście konieczność podejmowania natychmiast pilnych decyzji, prawie same sprawy zaległe, życia i śmierci, nie natychmiast, ale już na wczoraj, albo przed kilkoma dniami. A większość decyzji trzeba uzgadniać z okupantem, kolej jest mu podporządkowana, wiele budynków zajętych przez wojsko, użytkowanych, lepiej nie mówić



Warsztaty kolejowe, hala parowozowni.

jak. Jeżeli natychmiast coś się nie zaradzi, naprawi zniszczenia, to dojdą do stanu, kiedy nie będzie już co naprawiać.



Poznań –Antoninek



Poznań – Wschód.



Most kolejowy Dębina –Starołęka

Praca na okrągło, bez określonych godzin i z przerwami tylko na sen i posiłek, jeżeli był taki. Jeżeli udało się wyrwać na parę godzin popołudniem, to po to, żeby załatwić jakąś ważną sprawę bytową. Tutaj, ojcu sprzyjało szczęście. Udało mu się odzyskać i zabezpieczyć swoje dawne mieszkanie. Tylko że ... No tak, o tym będzie mowa dalej.

Ojciec otworzył drzwi i wyjaśnił krótko, że ściany i sufity są całe, a okna udało się częściowo oszklić, a częściowo zabezpieczyć dyktą i tekturą. W mieszkaniu jest już prąd i woda. Mebli nie było żadnych, ale wraz z sąsiadami odwiedził najbliższe składy używanych sprzętów. Były to doraźnie zorganizowane punkty, gdzie gromadzono porzucone w czasie ewakuacji rzeczy. Ten mechanizm, w każdym razie w Poznaniu, wyglądał tak, że z początku uciekająca ludność niemiecka, zabierała ze sobą wszystko i dopiero później, gdy rzeczywistość i trudności ewakuacji stawały się jasne, stopniowo porzucała część, zaczynając od sprzętów najcięższych i gabarytowo dużych. Zwłaszcza mebli. Wiele zebrano zwłaszcza w okolicy dworców i koło tzw. wolnych torów. Po wyzwoleni miasta powstały punkty składowe, w których można było tanio kupić meble, na zasadzie, kto da więcej i zaraz. Trzeba było przyprowadzić ze sobą kilku sąsiadów, zakupy trzeba było natychmiast zabrać ze sobą. Przy nielicznym personelu i częstej rotacji, nikt nie chciał ponosić odpowiedzialności za rzeczy nie odebrane. Kierownikiem takiego punktu, był zwykle urzędnik miejski delegowany do tych funkcji, a wielu z zatrudnionych dorywczo pomocników po prostu przychodziło na kilka dni, żeby wybrać sobie i korzystnie kupić jakieś potrzebne rzeczy, a kiedy to już nastąpiło, więcej do pracy nie przychodzili.

Ojciec kupił z najpotrzebniejszych sprzętów, kilka krzesel stół, szafę i dwa metalowe łóżka typu szpitalnego, a ponadto szczęśliwym przypadkiem rozpoznał parę własnych mebli, robionych kiedyś na zamówienie i nietypowych, a mianowicie jasną szafę z sypialni, zaopatrzoną w szklane okienka, w których matka zawieszała kiedyś śmieszne firaneczki oraz duże i ciężkie, hebanowe bufet oraz kredens. Oczywiście, własna identyfikacja to nie wszystko, trzeba było jeszcze

sprowadzić trzech świadków i spisać protokół, ale w tym czasie mebli nie sprzedano, gdyż były dosyć poobijane. Tym niemniej, ten fakt bez większego znaczenia, jednak bardzo ojca podbudował.

Teraz, po wejściu do mieszkania, ojciec stwierdził, że Angus spadł mu jak z nieba. On sam, mało bywa w domu, czasem i na noc nie wraca, więc będzie dużo spokojniejszy, jeżeli teraz Angus będzie trzymał fort. Wprawdzie złodziei się nie boi, bo nie ma tu nic wartościowego, ale zdarzały się wypadki, że w czasie nieobecności domowników, obcy wprowadzili się, wyłamując drzwi, a potem bardzo trudno było ich usunąć, zwłaszcza, jeżeli najbezzwłoczniej załatwili formalności urzędowe, zgłaszając mieszkanie jako niezajęte i na tej podstawie zameldowali się jako nowi właściciele. A zwłaszcza, jeżeli mieli poparcie nowych władz, PPR, milicji albo UB, sytuacja stawała się beznadziejna. U nich, w budynkach Spółdzielni, jakoś się dotąd wybroniło, zwłaszcza że i mieszkania były takie sobie, ale po drugiej stronie Parku Wilsona, na przykład przy ul. Matejki i Wyspiańskiego, gdzie w prywatnych domach było dużo wielopokojowych mieszkań o wysokim standardzie i osobnym wejściem dla służby, a nawet luksusowych rezydencji, zostały one zajęte na siłę przez ludzi nowej władzy albo przez doraźnie utworzone instytucje. Dawni właściciele mogli mówić o szczęściu, jeżeli pozwolono im skorzystać z pokoju służbowego albo paru, a już największe, jeżeli mieszkanie takie przegrodzono ścianą i oni mogli korzystać z dawnego wejścia dla służby. A nawet i w ich domu zdarzyło się, że mieszkanie na parterze, to duże w którym kiedyś mieszkali i gdzie urodził się Angus, a w którym przed wojną zamieszkała pani generałowa Frankowa (której lokaj wyprowadzał perskie koty na spacer na obrożach, jak psy), zostało zajęte przez osobę postronną, w ogóle nie członka spółdzielni. Co prawda, pani generałowa wojny nie przeżyła, jedni mówią, że zamordowana przez Sowieców, a inni, że przez Niemców.

Co do pieniędzy, które Angus otrzymał na drogę, to ojciec nie chciał ani rozliczenia, ani pozostałości. Niech Angus nadal je trzyma na bieżące wydatki. W sklepiku prywatnym na rogu ich budynku, można nabyć chleb i mleko, w każdym razie z rana. Poza tym nie wiele więcej. Ojciec pracuje w świetnym zespole, prawie sami doświadczeni fachowcy z przed wojny. Znalazł uznanie, oprócz normalnie przyobiecanego awansu dla tych, co się nie ześwinili i zachowali bez zarzutu w czasie okupacji, awansował jeszcze dwa razy, z grupy ósmej do piątej, przed wojną to byłoby wysokie stanowisko. Ale teraz ma znaczenie czysto symboliczne, pieniędzy i tak nie wiele dostają, zaliczkowo, a w ogóle wysokość pensji jak przed wojną, przy zupełnie innej wartości waluty,

jeżeli tak to można nazwać. Ale i tak tego nie wydaje, nie można niczego kupić, chyba po fantastycznych cenach. Natomiast od czasu do czasu, pracownicy mogą coś kupić w Dyrekcji Kolejowej. Może też uda mu się przynieść coś jadalnego dla Angusa ze stołówki Dyrekcji, gdzie jada obiady. Później okazało się, że ojciec przynosił do domu dwie rzeczy, zieloną sałatę, w dużej części od swojego szefa, inż. Szmita i jego własnego ogródka, to było podstawowe, masowe źródło zdrowia i witamin, oraz świńską głowiznę, z której nauczyli się gotować galaretę, częściowo wyrzucając górną warstwę tłuszczu, a częściowo smarując tym chleb. Na takiej diecie przeżyli do przyjazdu matki, chociaż niewątpliwie odbiło się to fatalnie na stanie ojca. Natomiast organizm Angusa spalał wszystko. A świńskie uszy, zwłaszcza chrząstki, polubił

To by było prawie wszystko, ale nie całkiem. Bo po chwili, rozejrzawszy się, Angus zdziwiony zapytał: - Dlaczego nogi łóżek, krzesel i nawet stołu moczą się we wodzie? Wszędzie podstawiliś talerzyki, a do tego na stole stoją dwa talerze z wodą i na środku każdego umieszczona świeca, po co to? – Rzeczywiście, nasuwało to skojarzenia z książkami w rodzaju „Magia i czary”, ostatnie zainteresowanie Angusa przed wojną. Ale wtedy był głupim dzieciakiem, a teraz nie, to nonsens. Ojciec nigdy nie był zabobonny, w każdym razie na serio, ani nie wyglądał na starcze rozmiękczenie mózgu, przeciwnie, działał celowo i racjonalnie, z pełną energią i maksymalnie wykorzystując czas. Po prostu jak dynamomaszyna pod pełnym napięciem, tylko trochę zużyta, nie wiadomo, jak długo jeszcze wytrzyma. Mały przestój, a także przegląd i remont, na pewno by mu się przydały.

- Zobaczysz w nocy. To zrobił się straszny dom i trudno w nim spać. Ale nie chodzi o duchy, tylko pluskwy.-

\* \* \*

### **Kapsuła: Wojna na najniższym poziomie.**

*Tak się jakoś dziwnie składa, że różne narody mają też różne plagi. Można powiedzieć, że głównym pasożytem niemieckim były pluskwy, natomiast z przeciwnej strony, od wschodu, nacierały wszy. Jeżeli zaś chodzi o Polaków, dotychczas prześladowały ich raczej pchły. Ludzie przywykają stopniowo do swoich normalnych prześladowców, lub umieją sobie z nimi radzić, natomiast nowa inwazja staje się z początku szczególnie dotkliwa, te traktowano wprost jak przedłużenie okupacji.*

*Faktem jest, że Angus zetknął się i przedtem z pluskwami. Przed wojną, zdarzało się, że w mieszkaniu znajdowano pluskwę, albo matka*

*zauważyła charakterystyczne, podłużne ślady na pościeli. Wtedy ogłaszała alarm i przystępowała do zaciętej walki, przy pomocy wrzącej wody, nafty itp. Potem przez pewien czas trwał jeszcze stan wzmożonej czujności. Oprócz tego, do tapetowania mieszkania brało się tylko takich rzemieślników, którzy naprawdę starannie przyklejali tapety, stosowali dobry klej w nadmiarze i bardzo dokładnie przygotowywali podkład. Słowem, tapeta nie mogła mieć najmniejszej fałdki, albo w ogóle rezygnowano z niej na rzecz malowania ścian. Podobnie parkiet musiał być dobrze nawoskowany, również i meble, zwłaszcza w razie alarmu.*

*Natomiast podczas wyjazdów na wakacje, podobnie jak podczas wysiedlenia w Ostrowcu, Angus stykał się z pchłami. Czasem powtarzano anegdotę, jakoby wynajmując mieszkanie na wakacje, matka zapytała, czy przypadkiem nie ma tam pluskiew. Przyszła gospodyni podobno odpowiedziała z oburzeniem : - U nas – pluskwy? To zupełnie niemożliwe, gdyby choć jedna się pokazała, pchły by ją żywcem rozszarpały! - Ale bez żartów, w obejściach gospodarskich, gdzie hodowano zwierzęta, zwykle bywały także pchły. Z tym jednak, że chociaż nie są to, jak czasem twierdzono, całkiem inne gatunki, to jednak pewna specjalizacja w wieku dojrzałym powodowała, że przystosowywały się one do konkretnego żywiciela. Pchły z psów i kotów tylko w razie konieczności kąsały także ludzi, przeważnie wolały poczekać na ulubione danie. Wreszcie, ukąszenie pchły czuje się zaraz i po nabraniu wprawy, przeważnie udaje się ją zaraz złapać. Tylko raz, w czasie bardzo gorącego lata i na samym południu Polski, na wakacjach w Zaleszczykach zetknął się Angus z pchłami piaskowymi. To był wyjątkowo zaciekły gatunek, istne tygrysy wśród owadów i naprawdę trzeba się było starać, żeby ujść z życiem, jeżeli wybrało się złe miejsce na odpoczynek w jednym z uroczych tamtejszych zakątków.*

*Stosunkowo najmniej doświadczenia miał dotąd Angus z wszami, ale za to najświeżej w pamięci. W ciągu nieco ponad 10 tygodni spędzonych w partyzantce, wszy żarły go, powiedzmy, 7 –8 tygodni. Cóż, warunki higieniczne były takie, że ręce każdy starał się myć często, nogi, kiedy tylko to było możliwe, twarz i inne fragmenty przy każdej okazji, ale o prawdziwej kąpieli można było tylko marzyć a i to nie za bardzo, żeby nie ulec pokusie w nieodpowiedniej chwili.(Znany przykład, oddział Tarzana, cały zginął w kąpieli, na którą zezwolono w, wydawało się, spokojnym i bezpiecznym momencie). A wszy wiadomo, że są różne. Takie sentymentalne, przywiązane do właściciela, ale bywają też przedsiębiorcze podróżniczki, poszukujące lepszych warunków życia, szerszego pola działalności i pola do popisu. Zupełnie, jak ludzie. W takich warunkach higienicznych i bez możliwości zmiany odzieży, w*

*której najczęściej się sypiało, w gromadzie ludzi, wszy po prostu nie da się uniknąć. Były rzeczą równie naturalną jak charakterystyczny cuch, wędzony smrodek ich żywicieli. Natomiast w niemiłe, makabryczne gadki o tym, że wszy-wędowniczki pochodzą z trupów, a są też i takie mądre, które opuszczają już rannych i to od razu ma oznaczać złe rokowania, Angus nie wierzył i nie słuchał ich. Głupia gadanie trafia się wszędzie. No cóż, faktem jest, że zawsze zabierali swoich rannych, a jeżeli to możliwe, starali się zabrać też zabitych, w takiej kolejności. A wszy żyły nadal i oczywiście starały się znaleźć nowe źródło pożywienia. Ale udawało się to wyjątkowo, nawet nie jednej na sto, śmierć żywiciela była dla nich katastrofą ekologiczną, zagładą.*

*W każdym razie wszy go żarły, bywało, że dotkliwie. Jedyne skuteczne zabieg higieniczny, to wyszukanie sobie mrowiska i położenia na nim bielizny i reszty odzieży. Oprócz mrówek, kapitalne znaczenie miał też w takim wypadku dostęp powietrza do skóry, „kąpiel” powietrzna, zamiast normalnej, zapobiegająca nieźle odparzeniom i drobnym infekcjom. Niestety, nawet taka „kąpiel” i „czyszczenie”, też wymagało trochę czasu i spokoju i trafiało się rzadko, może parę razy.*

*Po takich doświadczeniach, chociaż pcheł piaskowych już tak dobrze nie pamiętał, Angus nie sądził, żeby mogło go spotkać coś jeszcze gorszego, nie przejął się tak bardzo pluskwami. Okazało się, że nie docenił przeciwnika.*

\* \* \*

Obecnie, ojciec i syn nie mogli rozmawiać zbyt długo, gdyż, wbrew przedwojennym zwyczajom, ojciec pracował znacznie dłużej i brał też, z konieczności, wiele obliczeń do domu. Teraz miał napięte terminy. Był po raz ostatni w życiu szczęśliwy i to właśnie dlatego, że pracował do upadłego i potem znowu, gdy tylko zdołał się podnieść, bez przerośnię, dosłownie. O tym właśnie marzył przez cały czas okupacji, marniał z tęsknoty. Był w dobrym zespole i przy dawnym, przedwojennym szefie, który też dawał z siebie wszystko co mógł, też bardzo się starał, a był znakomitym fachowcem. Przynajmniej tak wynikało ze słów ojca.

Wprawdzie nic z tego nie miał, ale sam fakt trzykrotnego awansowania w tak krótkim czasie w tak krótkim czasie miał dla niego ogromne moralne znaczenie, czuł się osobiście doceniony i to samo dotyczyło całego wydziału. Fakt, że ci ludzie wykonali kawał dobrej roboty, ratując z pełnym poświęceniem i wysiłkiem wielki majątek w postaci budynków kolejowych, inwentaryzując, porządkując i organizując wszystko, co dało się ratować bez większych nakładów, samą dobrze

pokierowaną pracą. Zresztą, taka droga była od dawna przewidziana i planowana, patrz uwagi o Państwie Podziemnym w końcowym rozdziale poprzedniej książki. Teraz nadszedł czas wykonania tych planów. I rzeczywiście, przez pierwszych parę lat dało to znakomite rezultaty. Jednak podobnie jak w innych dziedzinach, takie odrodzenia trwały krótko. Gdy tylko nowa władza poczuła się mocno w siodle, urywała co się dało dla własnej korzyści. Gdy zaś odtworzone według dawnych wzorów zespoły starały się przeciwstawić albo zwykłej niegospodarności i ignorancji, a tym bardziej nadużyciom i jawnemu rabunkowi, zostały po prostu rozbite i zlikwidowane. Ale o tym będzie mowa dalej.

Teraz, ojciec usiadł w kuchni przy stole ze swoimi obliczeniami, miał spory zapas, więcej niż mógł zrobić w ciągu nocy, nawet gdyby był wypoczęty i w formie. Powiedział, że nie będzie się kładł, tylko gdy go sen zmorzy, prześpi się na krześle i po obudzeniu popracuje dalej. Natomiast Angusowi radził zasnąć, póki się da, ale ubrać szczelnie i nie gasić światła, a potem, gdy się pluskwy do niego dobiorą, to już sam zobaczy co dalej. Angus nie dał się długo namawiać, padał z nóg i zasnął natychmiast. Po prostu zapadł w stan nieprzytomności, jak w partyzantce po długim wysiłku, kiedy nagle tonął, tracił kontakt nawet na stojąco, ba, trudno uwierzyć, ale trafiało się przerwy w życiorysie nawet w marszu, kiedy nagle budził się po wpadnięciu na jaką przeszkodę, czyjeś plecy, albo po prostu tracił równowagę z powodu rozluźnienia mięśni.

Jednak, tak po dwu godzinach obudził się, jeszcze nieprzytomny, z powodu pieczenia i swędzenia rąk, nóg, twarzy i szyi. Usiadł na łóżku i gdy zdał sobie sprawę, gdzie jest i co tu robi, rozejrzał dokoła. To było coś nieprawdopodobnego.

Na łóżku poruszały się dziesiątki, nie, setki pluskiew. Niektóre usiłowały się ukryć lub uciekały, ale większość z desperacją usiłowały dobrać się mu do skóry nawet jeszcze ginąc, ostatnie życzenie przed śmiercią. Te, które się już napiły, wyglądały jak kropelki krwi, baloniki i czasem dosłownie pękały, nawet choć ich nie tknął. A w ogóle, takich pluskiew jeszcze nie widział, zupełnie niepodobne do dojrzałych okazów, jakie pamiętał z przed wojny. Były drobne i całkowicie przezroczyste, jak z celofanu, a raczej z cieniutkiej błonki. Wygłodzone do granic możliwości, aż trudno uwierzyć, że takie nic jednak jeszcze żyje.

Przy talerzykach z wodą, podstawionych pod nogi łóżka, zebrały się spore gromadki, a sporo także było utopionych we wodzie. Mimo to, inne pchały się naprzód i choć większość się topiła, niektórym udawało się jednak, czepiając tonących lub już utopionych, dotrzeć do celu i wspinały się po nogach łóżka, szturm trwał nieustanny. Ale główne siły, ścieżki owadów wspinały się po ścianach i po suficie i potem dokonywały

desantu powietrznego, kapiąc z góry na łóżko. Zorientował się teraz, że wyczuwają one promieniowanie cieplne i na nie się kierują. Zgadł też, po co na talerzach ustawione są świece. Rzeczywiście, gdy wstał i zapalił je, a łóżko przesunął, część zdeorientowanych owadów desantowała się do wody, niektóre spadały nawet w płomień. Ojciec usłyszał ruch i dopiero teraz mu dokładnie doradził, pomógł wylać talerzyki z topielcami do klozetu i podstawić ze świeżą wodą, należało w nocy przenosić się z miejsca na miejsce, to na drugie łóżko, to na krzesło, przysypiając tak długo, póki pluskwy nie zorientują się w położeniu i nie przegrupują do nowego ataku. On też tak robi w kuchni, a w ogóle wybrał to miejsce do pracy dlatego, że kuchnia była trochę mniej zapluskwiona.

Całe szczęście, że Angus nabył tę umiejętność, krótkiego przysypiania. Zmieniając często pozycję, jakoś dotrwał do rana, kiedy zrobiło się jasno szturm się zakończył. W każdym razie szturm generalny, większość owadów poznikwała i to tak, jakby ich nigdy nie było, stały się całkowicie niewidoczne. Tylko zapóźnione resztki, niebywale wygłodzone i zapewne do szaleństwa podniecone bliskości pożywienia, do którego po długich wysiłkach udało się im zbliżyć, nadal samobójczo usiłowała go ugryźć, głód silniejszy od instynktu samozachowawczego.

Trudno nazwać to dobrym wypoczynkiem, ale trafiały się gorsze warunki i też je przetrzymał. Mimo wszystko, najgorsze zmęczenie ustąpiło i jeszcze raz przysypiał, gdy usłyszał, jak ojciec zaczął krzątać się po mieszkaniu koło 6 rano, zupełnie jak przed wojną. Tyle, że poranną toaletę zakończył wcześniej i już przed siódmą zajrzał do pokoju powiedzieć, że dzisiaj idzie do pracy tylko na krótko, rano i że potem spotkają się na tyłach zrujnowanego Dworca Zachodniego, Angus ma tam być punkt o dziesiątej. Pojadą razem odwiedzić wujostwo, ale nie do Podłożin, oni przenieśli się i mieszkają obecnie w Chomeńcach. Dopiero wtedy, Angus zorientował się, że dzisiaj, 6 maja, jest przecież niedziela, a on zjawił się akurat w końcu tygodnia.

Po odejściu ojca, Angus najpierw ruszył do łazienki. Ostatnio, miał mało okazji do ablucji, po długiej drodze, przyjechał brudny i zmęczony, umył się pobieżnie i zaraz padł, nawet bez kolacji. No, a potem w nocy ciężka batalia, wprawdzie zadał wrogom ciężkie straty, ale wcale nie czuł się czystszy, zgoła przeciwnie. Teraz wreszcie miał możliwość to nadrobić, w prawie luksusowych warunkach. Nareszcie jego łazienka, która, podobnie jak cały dom, śniła mu się wiele razy po nocach, choć coraz rzadziej.

W gruncie rzeczy luksus istniał tylko we wspomnieniach, w wyobraźni. Ot, takie sobie niewielki, prostokątne pomieszczenie i obecnie prawie puste. Ale najważniejsze ocalało, blaszany piec rurowy do wody,

wanna i prysznic nad nią, zaraz przy drzwiach. Na końcu, pod okienkiem stłuczony porcelanowy sedes, który zresztą za parę dni udało się ojcu wymienić. Nic więcej nie pozostało, ale ojciec postarał się o drewnianą skrzynię, którą nakrywał ceratą i na niej, albo na lekkim stołku, który można było wstawić do wanny, umieszczał miednicę. Posadzka z kafelków nie ocalała, chociaż lastryko w kuchni owszem, natomiast tutaj był prosty cement, ale przynajmniej dobrze ukształtowany, rozlana woda ściekała do spływu pod wanną, a na ścianach przetrwała stara farba olejna, można chlapać się do woli.

Ojciec, sądząc po śladach, właśnie tak zrobił, najwyraźniej wrócił do przedwojennych zwyczajów. Syn, w tych odległych czasach starał się naśladować ojca, uważając to za dowód męskości, ale rzadko się udawało, bo matka była zdecydowanie przeciw, zimna woda może dziecku zaszkodzić. Jak dorośnie, to będzie mógł robić po swojemu. Teraz uważał się za całkowicie dorosłego, bez względu na rocznik, ale przy takim brudzie zimna woda nie wystarczy, gorzej rozpuszcza, więc podpalił trochę gazet i różnych śmieci, nie dodając węgla. Nachlapał rekordowo, ale po starym wszystkim natychmiast spłynęło, a po otwarciu okna wyszło w kilkanaście minut. Akurat i on doschnął i poczuł się jak nowo narodzony, pełen energii, szybki, sprawny - i bardzo pusty w środku. Niestety, znalazł tylko resztki chleba. Potem, czas było wyjść. Nie było czasu na oglądanie miasta, co pierwotnie miał zamiar robić. Tak ta niedziela zupełnie go zaskoczyła, chyba w tym tygodniu nie było wszystkich dni – ale którego brakowało? Czwartku, nie, przecież w czwartek był w Ostrowcu na tym apelu harcerskim, w piątek wskoczył do pociągu, w sobotę dojechał, zupełnie niemożliwe, musiało w tym tygodniu zabraknąć innego dnia – może poniedziałku albo wtorku? Bo w środę, przyszli go aresztować i matce cudem udało się przesłać ostrzeżenie. A jeszcze zanim otrzymał tę wiadomość, spotkał Stach Konara i z niedowierzaniem potraktował jego słowa, że najlepiej szybko zniknąć.

A niech tam, przełoży Poznań na jutro. Teraz, po drodze na dworzec, zobaczył tylko mały kawałek w pobliżu, bo poszedł inną drogą, w dół ulicą Śniadeckich i w lewo Marszałka Focha. Ulica Śniadeckich miała rzeczywiście szczęście, ale po skręcie w lewo, właściwie aż do dworca mijał same ruiny, dopiero sam Dworzec zachodni i leżący koło niego gmach poczty, ucierpiały stosunkowo mniej, owszem, mocno, ale nadawały się do odbudowy. Natomiast dalsze kamienice, naprzeciwko Targów albo kompletnie zniszczone, albo sterczały tylko mury.



Przypomniał sobie, że ojciec przed wyjściem ostrzegał go, żeby nie szedł tamtą stroną, bo mury czasem się zawalają. Podobno na początku marca, podczas silnego wiatru, zdarzył się poważny wypadek.

Przy przejściu koło Dworca spotkał ojca, już z biletem Ojciec najwyraźniej był szalenie dumny z tego, że na terenie Dyrekcji Poznańskiej (ściśle mówiąc, tzw. Okręgu Zachodniego, który został teraz mocno powiększony, obejmując znaczną część tzw. Ziem Odzyskanych aż do Odry). Nie omieszkał obszernie wyjaśnić, że jego Dyrekcja wyprzedziła wszystkie inne w przywracaniu ruchu pasażerskiego, tylko w Okręgu Warszawskim kursują, raczej niezbyt regularnie pociągi podmiejski. No i na Śląsku, ale Śląsk to całkiem co innego, Śląsk właściwie stanowi jedną całość, Megapolis, w którym wstrzymanie krążenia spowodowałoby obumieranie. Wreszcie i walki, zakończyły się tam wcześniej. Z Poznania pociągi kursowały na razie do Grodziska, tą linią właśnie mieli jechać, a także do Łeszna przez Mosinę, i Kościan,, do Obornik i Wroniek, do Wrześni, Do Śremu, Środy i wkrótce Jarocina i innych kierunkach, które ojciec wymieniał, a Angus jednym uchem słuchał, a drugim wypuszczał. Obowiązywały dawne, przedwojenne ceny, w obecnych warunkach śmiesznie niskie, ale i pensje też były takie. Ojciec w ogóle miał wolny przejazd na terenie całej dyrekcji, choć na ogół wykonywał obliczenia z otrzymanych danych, a starał się uchylać od wyjazdów. Ale nie zawsze mógł, poza tym dostał jako swoją działkę tzw. zasoby mieszkaniowe dla pracowników, to były często bardzo trudne i nawet bolesne sprawy, nie chciał w nich decydować, wszystko spychając na zwierzchnika: To mu bardzo nie leżało, więcej, gryzł się, stawał wprost chory.

Obecnie kupił bilet rodzinny dla Angusa, bo ten nie miał jeszcze legitymacji. Ale i tak, to był nadmiar skrupułów, Angus już w podróży stwierdził, że prawdopodobnie był jedynym podróżnym z biletem w tym pociągu. A przecież to były śmieszne grosze, nadal obowiązywała stara, przedwojenna taryfa.

Pociąg już stał kawałek dalej. Lecz gdy do niego doszli, o kazało się, że przy nim kłębi się tłum ludzi. Inni wisieli na stopniach lub usiłovali wcisnąć się do wagonów. Najwidoczniej tłok był większy, niż normalnie, a ojca to zaskoczyło. Gdy nie udało się wejść, zaczął najpierw wyjaśniać, że on jest kolejczym i jechać musi. To nie robiło najmniejszego wrażenia. Wtedy usiłował władować się na siłę, odpychając innych, jednak ci, już uczepieni, zaczęli po prostu wierzgać. Widać było, że jest słabszy i starszy, a Angus, zamiast rzucić się na odsiecz, odciągnął ojca. Oceniał, że jeżeli wdadzą się w szarpaninę, to nawet przy jego pomocy, wynik jest wątpliwy, przy ataku z dołu na wyżej położone pozycje. Dotąd był pełen uznania i bez dyskusji stosował się do wskazówek ojca, ale w tego rodzaju warunkach miał własne doświadczenie i teraz był czas z niego skorzystać. Krótka mówiąc, doprowadził ojca do otwartych platform, na których stało znacznie mniej ludzi. Zmieścili się tutaj, wprowadzili na otwartym powietrzu – i bardzo dobrze, bo dzień robił się ciepły i przyjemny. Na dodatek, platformy zajęte były w części przez krótkodystansowców, już w Luboniu zrobiło się luźniej, a od Wirów jechali całkiem wygodnie, chociaż na stojąco.

Angus zauważył w wagonach osobowych wielu ludzi w typie, jaki widział poprzednio na ostatnim odcinku drogi do Poznania, młodych i zdrowych mężczyzn. Później dowiedział się, że trasa do Grodziska stała się etapem w drodze do Zielonej Góry, tzw. szabrownicy mogli tam łatwo znaleźć dobrą okazję. To oni głównie przyszli dużo wcześniej i obsadzili wagony osobowe, to zjawisko nasiliło się od niedawna. W miarę, jak strefa frontu się oddalała, a niedawno kapitulował już Berlin, tzw. szaber stał się bezpiecznym i masowym sportem.

Ojciec i Angus wysiadali w Szreniawie, 20 km w trochę ponad pół godziny i tyle samo czasu zajęła im dalsza przechadzka.

\* \* \*

Wujostwo przeżyli całą okupację w Wielkopolsce, sprzyjało im szczęście, cała rodzina żyła nadal, a stracili tylko dobytek. Ostatnie wiadomości, Angus słyszał od matki, która w czasie nieprawdopodobnie ostrej zimy, w styczniu 1940, bez żadnych dokumentów i bezczelnie lekceważąc przepisy policyjne totalitarnego państwa, a korzystając

wyłącznie z kompletnej zapaści i rozprzężenia spowodowanego mrozami wśród nieprzygotowanych do tego Niemców, oraz trochę ze swej znajomości języka niemieckiego z wybornym, czysto berlińskim akcentem, przejechała bez żadnej kontroli dwie surowo strzeżone granice i dotarła do Podłozin. Tam otrzymała pomoc, umożliwiającą nowy start od zera i przetrwanie wojny, w każdym razie pierwszej części.

Od niej wiedział już, że Podłoziny i cała okolica, oddalona od głównych dróg, długi czas omijane były przez okupantów. Aż do zimy, nikt tam Niemca nie widział, zupełnie jakby żyli w innym kraju, a potem majątek został objęty przez "Treuhaendera", spokojnego i stosunkowo przyzwoitego Niemca, który miał słabe pojęcie o rolnictwie. Dotychczasowego gospodarza, Wujka, wyznaczył rządcą, a potem właściwie nie wtrącał się do niczego. Panował, lecz nie rządził. Najlepszy dowód od razu na początku, to właśnie, że całkowicie przymknął oczy na przyjazd nieznanegoj osoby, krewnej dawnych gospodarzy. Nie tylko nie pobięł z donosem, ale raz na zawsze nabrał wody w usta i nawet nie wspomniał nigdy o tym, że przez jakiś czas przebywała ona tam, najwidoczniej nielegalnie. W następnym roku, po uzyskaniu doskonałych wyników produkcji rolniczej, Niemiec został przeniesiony na większy majątek. Od razu też zaproponował rodzinie Wujka, żeby przenieśli się razem z nim, na dotychczasowych zasadach.

To była trudna decyzja i Ciotka z Wujkiem długo się naradzali. Z jednej strony, mieli porzucić swój dom i cały dobytek, z drugiej strony i tak nie mogli liczyć, że zachowają cokolwiek, następnny Treuhaender i tak mógł im wszystko zabrać, a dodatkowo całkiem ich zgnoić, wysiedlić, a nawet skierować do więzienia, obozu albo na rozstrzelanie. Wystarczyło by jakiegokolwiek oskarżenie, choćby zmyślone. Słowo Polaka przeciw słowu Niemca, nie miało dla władz żadnego znaczenia. Wielu okolicznych ziemian, o ile oczywiście nie zostali zaraz na początku rozstrzelani jako zakładnicy na pokaz, po prostu dla przykładu, wyjeżdżało lub w inny sposób starało się zniknąć. Chwilowo zakładników nie rozstrzeliwano, ale tym bardziej należało wykorzystać ten czas, zniknąć z widoku, przynajmniej z okolic, w których było się osobą znaną.

Ostatecznie przeważały dwa względy. Po pierwsze, trafili na wyjątkowo porządnego człowieka i należało go się trzymać. Angus zapewne nie zrozumiałby tego i nie uwierzył jeszcze rok temu, ale w końcu roku 1944 i on trafił na Niemca, który okazał się wspaniałym człowiekiem i być może, zawdzięczał mu życie.

Po drugie, ten nowy majątek gdzie mieli się przenieść, to było Lusówko, dawny majątek generała Dowbór-Muśnickiego.



Istotne znaczenie miało, że to było niedaleko, na dobrze znanym terytorium. Mniej więcej od Stężewa do Buku, na zachód od Poznania rozciągała się jakby kieszeń, trudno dostępna, żadnych głównych dróg, dopiero od Buku bita droga od Poznania, ale też lokalna a nie przelotowa. Lusówko leżało przy tej drodze, to nie był taki ślepy zaułek jak Podłaziny, ale i tak w tej spokojnej strefie.

Na nowym miejscu wujek nie był już rządcą, pracował po prostu w biurze wraz z ciotką, a cała reszta rodziny pracowała fizycznie. I to nie lekko, bez żadnych ulg, teoretycznie 12 godzin dziennie, ale faktycznie często więcej. Także ich dawna guwernantka, panna Zofia, która pozostała przy tej rodzinie i wraz z nią, szczęśliwie przeżyła. Polacy w Wielkopolsce mogli być tylko niewolnikami, pozbawionymi własności, a ci którzy nadal zachowali mniejsze i gorsze gospodarstwa, czymś w rodzaju helotów. Wszystko zależało od tego, komu podlegali, ci co źle trafili przechodzili piekło, o ile w ogóle zdołali przeżyć.

Majątek od początku był przykładem wysokiej kultury rolnej i przez te lata, nie wiele się pogorszyło. Jak mówili ludzie, za Niemca nadal ziemia dobrze rodziła. Mimo, że zupełnie się na rolnictwie nie znał, majątek nadal uchodził za wzorowy. Ze swojej strony, ten Niemiec zachowywał się całkiem przyzwoicie, do samego końca. Wprawdzie nie mógł już zatrudniać Polaka na kierowniczym stanowisku, ale i tak kierował się jego radami w sprawach rolniczych i sam też dobrze na tym wychodził. Aż do chwili, gdy nagle zniknął bez pożegnania. Wszyscy Niemcy uciekli w panice.

Co do Wujka, to wprawdzie zdawał sobie sprawę, że jest to praca dla Niemców, w Wielkopolsce nie istniała żadna inna możliwość, ale już raz to przeżył. Pierwszą Wojnę Światową, też kierując majątkiem, co z jednej strony chwilowo pośrednio działało na korzyść Niemców, ale z drugiej oznaczało zachowanie polskiego majątku w wysokiej kulturze

rolnej i na chronionym, dobrym poziomie. A więc niezaprzeczalnie przyszła, trwała wartość dla kraju, nawet jeżeli przejściowe korzyści czerpał okupant. W każdym razie ojciec Angusa, który był aż do przesady wyczulony na to, żeby nie pracować dla Niemców, być może dlatego, że został tak poinstruowany w Dyrekcji Kolei, w tej sprawie nie miał żadnych zastrzeżeń i w pełni aprobował Wujka stanowisko.

Front przeszedł spokojnie, tutaj nie było dróg, a więc i większych ruchów wojsk, tylko ewakuacja. Gdy tylko Niemcy uciekli, a przez szereg dni Armia Czerwona prawie się nie pokazywała, omijając tą okolicę, ciotkę i całą rodzinę ciągnęło do swojego domu, po prostu nie mogli już dłużej wytrzymać. Niemcy zabrali konie, nie mówiąc o innych pojazdach, więc Wujek zaprzęgał do wozów krowy i w śniegu i mrozie, jakoś dojechali z powrotem do Podłozin. Tam dom stał i zabudowania też, ale to było wszystko, inwentarza i sprzętu nie wiele zostało, a ziemia w zaniedbaniu. Poza tym, sytuacja była niejasna. Formalnie byli tylko dzierżawcami majątku, lecz kontrakt dzierżawny już od dawna wygasł. Wprawdzie wpłacili zadatek na kupno, ale dawni właściciele też przestali być właścicielami, sami wszystko stracili, majątki przejmowało państwo bez żadnych odszkodowań. Właściwie to szczęście od Boga, że nie zdążyli kupić tego majątku, jako dzierżawcy mieli prawo zachować to, co się uchowało z własnego inwentarza oraz ze starego, przedwojennego własnego sprzętu, bo oczywiście poniemiecki nie należał do nich. Nie wiele tego zostało, nie było z czym zaczynać gospodarowania. Coś się jednak uchowało, zakopana jeszcze w 1939 r. mała żelazna rezerwa, właściwie, nie całkiem żelazna. Ale po obliczeniu, okazało się, że to w żaden sposób nie wystarczy, nawet na kupno koni, nie mówiąc o krowach, świniami itd. itd. Potrzeby były bez porównania większe, co najmniej konieczny zaraz duży kredyt, a to marzenie ściętej głowy. Poza tym, nikt nie wiedział czy możliwa jest dalsza dzierżawa, ani nawet z kim o tym rozmawiać i gdzie się dowiedzieć.

Gdy wujek zaczął się dowiadywać wśród sąsiadów i w pierwszych powstających urzędach, otrzymał ciekawą propozycję. W pobliżu, ale już przy szosie przed Stęszewem, znajdował się wzorowo prowadzony majątek, właśnie Chomęcice, o których mowa. Choć przy głównej drodze, mało ucierpiał, bo zmiana okupacji odbyła się niespodziewanie i bardzo szybko, w tym wypadku szosa okazała się zaletą, nikt nie oczekiwał takiej szybkości, Niemcy zwiali, zabierając tylko rzeczy osobiste, konie owszem też, a poza tym się nie obciążali. Dawny właściciel, pan Jordanowski wprawdzie przestał być właścicielem, ale to był fachowy, wysokiej klasy rolnik i znalazł zatrudnienie w Izbie Rolnej, która się dopiero organizowała. Może miał jakieś nadzieje na zmianę

sytuacji, a może, jak twierdziła ciocia, po prostu nie mógł się pogodzić, żeby dzieło jego życia, naprawdę wzorowo prowadzony majątek się zmarnował. W każdym razie, ze wszystkich sił zaczął namawiać wujka, żeby objął on tymczasowy zarząd majątku.

Wiadomo przecież, że jest najlepszym rolnikiem w okolicy, a tu będzie miał pole do popisu i to dużo większe. Ze swojej strony obiecał pełne poparcie w Izbie Rolnej i załatwienie wszelkich formalności, a nawet własną pomoc finansową. Jeżeli w przyszłości sytuacja się zmieni, z czym się wtedy jeszcze wszyscy liczyli - w takim wypadku proponował bardzo korzystne warunki, podział tego, co da się uratować. Trzeba dodać, że reforma rolna wchodziła w program także legalnego rządu emigracyjnego i był już uchwalona, ale nie na zasadzie rabunku, miała się być przeprowadzona w sposób cywilizowany. Więc zachowanie dobrego stanu gospodarstwa wydawało się leżeć w interesie dawnych właścicieli, a poza tym ten właśnie człowiek, naprawdę kochał ziemię i nie chciał dopuścić do dewastacji, nawet za cenę własnych ofiar. Krótko mówiąc, wujek przyjął propozycję i został obecnie kierownikiem majątku pod zarządem państwowym.

W przyszłości, okazało się że to nie był dobry business, zgoła przeciwnie. Jak wiadomo, nadzieje były złudne i nic się nie zmieniło. Mimo wszystko, wujek nigdy tego nie żałował, twierdził, że ta praca sprawiła mu dużo satysfakcji. Obie strony postępowały uczciwie i z dobrą wiarą, a że nie wyszło, to już siła wyższa.

Tak nawiasem mówiąc, w Wielkopolsce sporo było dobrze prowadzonych, zadbanych majątków. I nic dziwnego. Jeszcze przed I Wojną Światową, chociaż metod hitlerowskich wtedy nie stosowano i nie łamano tak jawnie prawa, władze niemieckie stosowały nacisk germanizacyjny i wszelkie możliwe szykany. Trudno było Polakowi utrzymać majątek i tylko dobrze prowadzone mogły przetrwać.

Obecnie, może tylko jednego wujostwo nie wzięli pod uwagę: że nawet jeszcze po zakończeniu wojny, położenie przy głównej drodze może łączyć się z niebezpieczeństwem. W kilka miesięcy później, w majątku zakwaterował oddział Armii Czerwonej. Nie tylko chodzi o przymusowe rekwizycje, na przemian z zaborem mienia bez żadnych formalności, z użyciem przemocy. Także ludzie mieszkający w dworze, zarówno kierownik jak i inni pracownicy, zostali wykwaterowani tak pośpiesznie, że nie zdołali nawet zabrać wszystkich rzeczy osobistych, a wiele z tych rzeczy, jak również i innych, nigdy więcej nie zobaczyli. Krótko mówiąc, zarówno majątek, jak i pracujący tam ludzie już po zakończeniu wojny zostali obrabowani, chociaż tylko częściowo. Ale jeszcze bardziej niż sam rabunek, oburzały ich bezsensowne zniszczenia i

niesamowite zanieczyszczenie, jakie zastali po opuszczeniu swoich mieszkań przez „Czerwonoarmiejców”. To Angus zna tylko ze słyszenia, ale podobne wypadki widział już jako uczeń, gdy wraz z kolegami, zanim ich szkoła przeniosła się do nowo odzyskanych budynków, trzeba było najpierw te budynki wyprzątnąć. Zresztą podobnie miało być i na Uniwersytecie, z tą jedynie różnicą, że tam potrzebna była długa odbudowa i usuwanie zniszczeń. A pierwsze sprzątnięcie było najgorsze.

Właśnie, uniwersytet, dalsza nauka. Tym razem, Angus zobaczył się tylko z wujostwem i dwoma kuzynami. Starsze kuzynki, Stefa i Bożena były w Poznaniu. Jedna jeszcze przed wojną ukończyła I rok medycyny, druga zdała maturę i miała rozpocząć ekonomię, ale obecnie zdecydowała się na Wyższą Szkołę Handlową, wkrótce Akademię. Mieszkały różnie, najczęściej u innej kuzynki, też w Poznaniu, ale w pobliżu Dębca, a do domu wpadały kiedy mogły. Głównie, jak zmusiła je



konieczność, to znaczy skończyły się zapasy. jedzenia. Zajęcia i studia zaczęły się późno, dlatego od razu tempo narzucono niesamowite, żeby mimo trudnych warunków zmieścić się w około pół roku, a i to już po przesunięciu wakacji na później.

To też większość informacji, uzyskał Angus od kuzynów. Znacznie starsi, przed wojną jeden skoczył gimnazjum, mówiło się, był po małej maturze, a po liceum marzył o szkole morskiej, co spotykało się ze sprzeciwami rodziców (ale Angus oceniał, że gdyby nie wojna postawiłby na swoim). Młodszy po II klasie gimnazjum. Angus by wtedy smarkaczem w szkole powszechnej, teraz zrównał się ze starszym. W czasie wojny, pracowali fizycznie, przeważnie ponad 12 godzin dziennie i to po stałym dozorem, nie mogli się uczyć. Zresztą w Wielkopolsce nie

było tajnych szkół średnich ani wyższych, Wielkopolska to był inny świat, mocno tkwiła w pazurach okupantów. Ten obraz dopiero zaczął rysować się Angusowi, wielu rzeczy nie był w stanie zrozumieć ani ocenić. Na przykład, nie mieli też możliwości uczestniczyć w konspiracji i to nie z braku chęci. Zapewne dobrze się stało, walka w Wielkopolsce trwała też bez przerwy od początku do końca, ale ofiary były fatalne i szczerze mówiąc, rezultaty niezbyt opłacalne, chyba zbliżone do ogłoszeń z pierwszych dni okupacji, proporcja stu Polaków za jednego Niemca. Przecież i mordowanie Polaków zaczęło się tutaj o kilka miesięcy wcześniej i rabunek mienia przeprowadzono praktycznie do końca opłacalnych granic, pozostawiając przejściowo w rękach Polaków tylko mniejsze gospodarstwa i najmniej warte zakłady pracy, po nałożeniu świadczeń przymusowych. Wreszcie około 25% ludności, zwłaszcza zamożniejszej, porwano z domów i wywieziono. Przy końcu okupacji, w mniej atrakcyjnych miejscach jeden Niemiec przypadał na czterech Polaków, a w większych miastach, zwłaszcza Poznaniu stosunek ten wynosił nawet dwa do trzech. Importowano osadników niemieckich, czasem też przymusowo, a na zachętę obdarzano ich mieniem Polaków.

Kilkakrotnie Gestapo rozgromiło wielkie organizacje, w tym Armię Krajową, aż do Komendy Obwodu, ponownie odbudowywano wszystko od podstaw i potem nowa katastrofa. Także główne stronnictwa polityczne i trzon cywilny, wraz z ich zbrojnymi przybudówkami poniosły ciężkie ofiary. W ręce Gestapo wpadło kilkakrotnie, dziesiątki tysięcy ludzi, a mimo to wciąż następni tworzyli nowe struktury. W końcu doszło do tego, że Komenda AK nie mogła dłużej działać w Poznaniu, odtworzono ją w Ostrowie Wlkp., a reprezentację polityczną Wielkopolski wobec centralnych organów władz Polski podziemnej, faktycznie przejęła Ojczyzna, organizacja nie masowa, co raczej dobrze zakonspirowana, działająca raczej kadrowo i elitarnie. Ojczyzna od początku nie precyzowała orientacji politycznej, choć na pewno przeważały poglądy narodowo-demokratyczne, ale tak było właściwie w całej Wielkopolsce, a organizacja deklarowała się jako dostępna dla wszystkich Polaków, a wywodziła właściwie z dawnych organizacji harcerskich, które przygotowały kiedyś Powstanie Wielkopolskie, a więc dalszy ślad prowadziły do przybudówek Sokoła, a tradycja sięga Ksawerego Zakrzewskiego. Ale dalszy ciąg, przechowywany był przez Koło Harcerskie przy Uniwersytecie Poznańskim i do niego dołączały nowe kręgi młodzieży, także innych orientacji, nie wyłączając i związanych z sanacją, duży wpływ osobisty wycisnął prof. J. Kostrzewski. Ojczyzna początkowo starała się nieść pomoc społeczeństwu i między innymi forsować program oświaty i nauki, realizować cele ważne dla przyszłych

pokoleń, nie tyle doraźne, co przyszłościowe, czasem idealistyczne. A wszystko bardzo rozważnie, przykładając wiele starań, żeby ludzi jak najmniej narażać. Niespodziewanie została główną, reprezentatywną organizacją dlatego, że inne zostały zniszczone. Do dziś, sprawy te są bardzo mało znane, gdyż udało się zachować konspirację w podstawowych działach także po wojnie, wobec następnego zagrożenia, a obecnie większość ludzi, którzy mieliby coś istotnego do powiedzenia już nie żyje. Można tylko mieć nadzieję, że jeszcze jakieś opracowanie rzuci trochę światła, w przeciwnym razie trzeba by przyjąć, że była to tak doskonała konspiracja, że rozplynęła się bez śladu.

No tak, ale to są fakty, o których Angus dowiedział się znacznie później i to tylko fragmentarycznie, reszta w dużej części oparta jest na domysłach. Wzmianka w tym miejscu jest przedwczesna. Natomiast właśnie wtedy Angus zdał sobie sprawę, że on w takich warunkach na pewno by nie przeżył. Wielkopolska i być może inne włączone do Reich'u dzielnice, z całą pewnością była znacznie trudniejszym terenem dla Polaków, niż GG, a także niż przedwojenne ziemie niemieckie.

Natomiast o sprawach rodzinnych, trochę opowiedział ojciec już po drodze, pewne fragmenty usłyszał Angus z ust ciotki i wujka, ale właściwie tylko strzępy. Najwyraźniej ojciec przyjeżdżał tu już wiele razy i teraz, nie chciał się im powtarzać całej historii od początku. Raczej teraz wujek rozpoczął obchód gospodarstwa, przy okazji pokazując im podwórza i budynki. Trochę rozbawiło Angusa, że podobnie jak ojciec w sprawie kolei, wujek z wyraźną dumą pokazywał każde nowe ciele i nawet prosiaki, tak, jakby on osobiście je urodził. Podobnie cały inwentarz, budynki i sprzęt, co już ma, co wkrótce przybędzie i o co jeszcze musi się postarać. Z pewnością bardzo trafne i interesujące uwagi, niestety Angus się zupełnie na tym nie znał.

Te podwórza i przyległości, zajęły cały czas aż do obiadu, na który wrócili do domu. W dużym murowanym dworze mieszkało obecnie kilka rodzin, wujostwo nie zajmowali całości, tylko wydzielone, dość obszerne mieszkanie. Także obiad, według słów ciotki, to nie był prawdziwy obiad, w dodatku spieszyła się, żeby podać go wcześniej. Może rzeczywiście różnił się od przedwojennych, ale Angus uważał, że to przesada, od dawna nie zasiadał do tak obfitego i smacznego jedzenia, ojciec chyba też, żalowali, że nie można opchać się na zapas. Ale pracowali dzielnie i skończyli wyraźnie zmęczeni, musiało to być widać, bo wujek zaproponował po obiedzie krótki odpoczynek. A potem usiedli, ku zgrozie Angusa, do preferansa, zupełnie jak przed wojną. Na szczęście po niecałej godzinie, Angus mógł odejść, gdy przyszedł jakiś inny, znajomy partner. Ale zdążył zauważyć, że zarówno on sam, jak i ojciec jakby

utracili tą prawie automatyczną biegłość w grze, jakiej nabrali w 1940 roku, nie reagowali bez wahania i bezbłędnie na otrzymane karty, ba, zdarzało się im popełniać błędy i nawet czasem się chwilę zastanawiali.

To też, dla Angusa gra nie była już taką okropną pracą przymusową, jak wtedy, natomiast ojcu najwyraźniej nadal sprawiała wielką satysfakcję. Na wszelki wypadek, po zwolnieniu z obowiązku Angus wolał prysnąć na dwór i tam miał okazję pogadać z kuzynami, ku lekkiemu zdziwieniu jednak, z każdym oddzielnie. Dla starszego z nich, Mieczka, przed wojną był po prostu smarkaczem. Ponad sześć lat różnicy czyniło z niego już prawie dorosłego mężczyznę, który ledwie zauważał, tolerował ucznia z powszechniaka. Teraz, niespodziewanie znaleźli się na tym samym poziomie, w pierwszej klasie liceum i z perspektywą studiów już wkrótce. Oczywiście dlatego, że w odróżnieniu od Angusa, który nie stracił ani roku, Mieczek nie miał możliwości nauki. Natomiast nie zmienił się, pozostał nadal tym dobrze zorganizowanym, młodym człowiekiem, dbał o zachowanie formy, zarówno fizycznej jak i umysłowej. Wprawdzie tą sprawność ćwiczył kiedyś uparcie z myślą o Szkole Morskiej, a teraz to przestało być realne, ale i tak bardzo mu się w życiu przydała i zachował ją nadal. Natomiast młodszy, Stach, na nim okupacji odbił się gorzej, bezmyślna praca niewolnicza wpłynęła ujemnie na rozwój intelektualny. Nie był orłem i przed wojną, jednak przeciętnie dobrym uczniem, lecz teraz wyraźnie wiele zapomniał i miał duże trudności z nauką. A co najważniejsze, stracił do tego serce i zainteresowanie, marzył tylko o tym, żeby jak najprędzej się usamodzielić i do czegoś dojść, nie cierpiał otrzymywać poleceń, nawet od rodziny lub nauczycieli. Wyrósł na wielkie i silne chłopisko, a zwolniony obecnie od ciężkiej pracy fizycznej (natomiast obciążony umysłową, od której odwykł) i korzystając obecnie z dobrego odżywiania, zaczął przybierać na wadze, jeszcze nie młodzieńcza otyłość, ale jakby zaczął się rozdymać. Plany też miał inne, wprawdzie przyznawał, że trzeba skończyć gimnazjum, ale o studiach nie myślał, raczej rozglądał się za czymś, co zapewni sukces szybko. Niemców wprawdzie nienawidził, aż wielkie pięści same mu się zaciskały i bardzo żałował, że nie ma okazji na nich się odegrać, ale z drugiej strony, zaszokował Angusa, pytając go o zdanie, czy obecny reżim długo się utrzyma, bo chciałby wiedzieć, czego się trzymać. Był gotów albo walczyć, albo się podporządkować, ale chciał być po stronie tych, co wygrają. Angus nie umiał przepowiadać przyszłości, ale był mocno zdecydowany, że jeśli się coś zdoła utrzymać, to chyba po jego trupie. Ale o swoich przeżyciach i planach opowiadał mało, raczej dużo się pytał. Zresztą i tak nie zdążyli wyczerpać tematu, zbliżał się wieczór i czas było wracać do Poznania.

Tym razem Angus z ojcem poszli na stację odprowadzani przez kuzynów i bardzo dobrze, bo bardzo cenna była ich pomoc przy wsiadaniu. W Szreniawie czekali nie długo, pociąg nadjechał prawie o czasie, ale trudno było się zorientować, że to pociąg, bo widok był niezwykły. Z dała jakby uniosła się w górę piramida ludzi, za nią następna i jeszcze parę, a potem opadła i zniknęła. Po chwili uniosła się znowu i tak kilka razy, dopiero po chwili Angus zorientował się, że to są platformy kolejowe pokryte stojącymi ludźmi, przy czym ci w środku stoją lub siedzą na podwyższeniu – okazało się, że część rozmieściła się na przewożonych rzeczach. Widok ukazywał się i znikał, gdyż pociąg pokonywał pofalowany teren, jadąc częściowo w wykopie, a co jakiś czas na poziomie otoczenia.

Tłok tłokiem, ale Mieczek i Stach, którzy praktycznie codziennie jeździli do Poznania i mieli wprawę, upchnęli jakoś Angusa z ojcem, zresztą duża część podróżnych, tych co wracali z tzw. szabrem, wysiadało już wcześniej przed Poznaniem, bo na dworcu zdarzały się czasem kontrole, sprawdzające kto i co wiezie. Do Poznania dotarli bez przygód. Tym razem, Angus przygotował się lepiej, a może dopiero teraz nastąpiła reakcja, w każdym razie, zmieniając kilka razy w nocy pozycje obronne, spał dłużej i obudził się dopiero po wyjściu ojca.

\* \* \*

W sklepiku na rogu ich bloku, kupił bez trudu chleb i mleko, tanio, po urzędowych cenach. Co prawda mleko, odmierzane wówczas specjalnym metalowym czerpakiem na długiej rączce, prawie się już kończyło, to była już ostatnia blaszana konew, ok. 30 litrów Właściwie, nic więcej nie było, a w każdym razie po rozsądnych cenach. Teoretycznie chleb i mleko, zawierają wszystkie potrzebne składniki i całkowicie wystarczają do podtrzymania życia, chociaż oczywiście każde urozmaicenie jest korzystne i miłe.

Po lekkim a zdrowym śniadaniu, pierwszą i najważniejszą rzeczą było zobaczyć nareszcie Poznań, co i jak się zmieniło, jak wielkie są zniszczenia itd. Postanowił zacząć od najbliższej okolicy i potem, stopniowo powiększać spiralę.

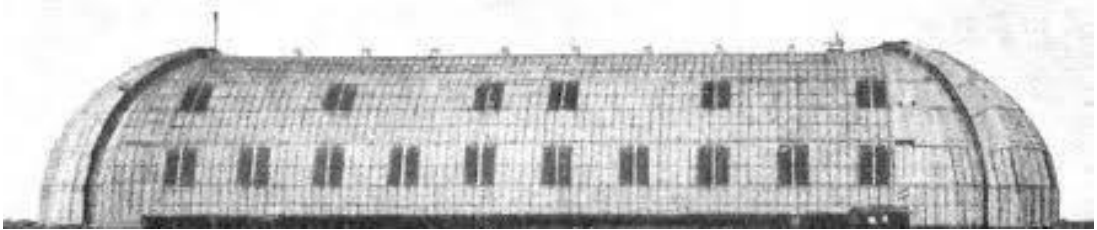
Ulica Śniadeckich przetrwała zadziwiająco dobrze, za wyjątkiem tego jednego bloku obok, który rozleciał się całkowicie, kiedy ciężka bomba trafiła w dawny browar Huggera, położony przy placu między parkiem Wilsona a ich blokami, można powiedzieć, na zapleczu. Podobno Anglicy celowali w gmach Gimnazjum Handlowego, nieco wyżej przy ul Śniadeckich, gdzie mieścił się sztab obwodu obrony przeciwlotniczej,

właśnie tam, gdzie Angus jesienią 1939 r. chodził zapisywać oznakowania samochodów. W wyniku trafienia, frontalna część bardzo solidnego gmachu browaru rozleciała się całkowicie, ale peryferyjne jednak przetrwały.

Tym razem Angus poszedł najpierw w dół, a doszedłszy do, jak tradycyjnie mówili starzy Poznaniacy, ulicy Marszałka Focha, skręcił w prawo. Automatycznie skierował się na swoją codzienną, dawną drogę do szkoły. Tutaj sprawa przedstawiała się gorzej, wiele budynków było w ruinie, chociaż na pierwszy rzut oka, bardziej ucierpiała odwrotna strona tej głównej arterii, od strony dworca. Większość domów była mniej lub więcej uszkodzona, a co jakiś czas trafiały się puste miejsca, to znaczy nie całkiem puste, pokryte gruzem. W przyszłości, ruiny naprawiono, a w puste miejsca wstawiano tzw. plomby. Tak naprawdę, nie było to zbyt mądre rozwiązanie, często odbudowa ruin kosztowała więcej, niż nowa budowa od zera, a plomby też były droższe od normalnego budownictwa, gdyż ograniczały, ścieśniały miejsce robót. Właściwie, była wtedy najlepsza okazja, żeby przeprojektować wtedy i unowocześnić, jeżeli nie całe miasto, to przynajmniej bardziej zniszczone dzielnice, a zwłaszcza śródmieście. Ale to raczej przedwojenni projektanci byli znacznie do przodu, tworząc na wyrost szerokie, nowoczesne trasy, a teraz przeciwnie, często rezygnowano z tych rozwiązań, ścieśniano i psuto to, co było dobre. Cóż, zabrakło wyobraźni, a poza tym fakt, że i zwykli ludzie najchętniej wracali w dawne miejsca, odbudowane ruiny, a plomby stały się specjalnie poszukiwane. O tym będzie mowa dalej.

Obecnie pierwszym celem była dawna szkoła, Angus miał cichą nadzieję, że może tam też rozpoczęła, albo rozpoczyna się nauka – a przynajmniej coś się dzieje, będzie można zasięgnąć jakiejś informacji, lub co najmniej przeczytać ogłoszenie. Niestety, budynki wprawdzie nie były zniszczone, ale uszkodzone i właśnie ulegały dalszej dewastacji, konkretnie zajęte były przez Armię Czerwoną (potem milicję). Nic nie zapowiadało, żeby się to miało zmienić, paru przypadkowych przechodniów nic nie wiedziało, nie widać też było żadnej nalepionej kartki. Angus obszedł więc dokoła oba budynki, dawnego Gimnazjum i Liceum im. A. Mickiewicza oraz szkoły powszechnej przy nim i zawrócił wzdłuż ogrodzenia od strony obu boisk i dalej ulicą Matejki. Ostatnio chodził tędy około sześć lat temu, do szkoły śpieszył zawsze ulicą Marszałka Focha wracał zwykle też, ale od czasu do czasu wybierał taką drogę. Jednak zamiast przez Park Wilsona do domu, poszedł dalej ulicą Matejki. Reprezentacyjne secesyjne kamienice naprzeciwko Parku Wilsona i ulicy Wyspiańskiego oraz najbliższa okolica, to bodaj najlepsze adresy przedwojennego Poznania.

Angus przypominał sobie mętnie, że przed wojną w pobliżu skrzyżowania ulic Matejki i Grunwaldzkiej, mieściły się jakieś gimnazja, dokładnie nie wiedział, gdzie jemu, wówczas zwyktemu uczniowi powszechniaka, do tak dostojnego towarzystwa. Pamiętał jednak zabawną historię, która wiązała się z bardzo głośnym, dosłownie i w przenośni wypadkiem: otóż w latach trzydziestych eksplodował wielki i wysoki zbiornik gazu na obrzeżach Poznania, od strony Naramowic, opodal hali Zeppelina. Jeden z pierwszoklasistów gimnazjum przy ul.



Grunwaldzkiej, bardzo przejęty, zgłosił się do wychowawcy i przyznał się, że to jego wina, on to zrobił. Mianowicie ten wysoki okrągły zbiornik, odległy sporo ponad 5 km, widoczny był z boiska szkolnego, chłopak strzelił w jego stronę z procy, po czym rozległo się ogłuszające Bum! Nie wiadomo, czy historia była prawdziwa, czy to anegdota, ale Angus słyszał ją kilka razy, z różnych stron, powtarzaną jeszcze po latach.

Obecnie po minięciu Parku, Palmiarni i cichych, spokojnych ulic, Orzeszkowej i Konopnickiej, zobaczył z prawej strony ul. Matejki budynek żeńskiego gimnazjum. Lecz gdy podszedł bliżej, dostrzegł aż dwie tablice – Państwowe Liceum i Gimnazjum im. Generałowej Zamojskiej i zupełnie nieoczekiwanie drugą, Państwowe Liceum i Gimnazjum im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. Co za niespodzianka!

W sekretariacie dowiedział się, że istotnie, w budynku tym goszczą czasowo drugą szkołę, ponieważ położony nieco dalej jej gmach jest wciąż jeszcze zajęty przez Armię Czerwoną.

Angus nawet nie zdawał sobie sprawy, jakie to było niezwykle wydarzenie (to znaczy nie odnośnie Armii Czerwonej, ta zajmowała wiele szkół i gmachów), ale wspólne ulokowanie tych szkół. Dla niego zwykła konieczność wojenna, ale w Poznaniu, zwłaszcza dla zamojszczanek, a już specjalnie dla P. dyr. Hoppe - nie rewolucja, a wprost koniec świata.



W każdym razie, złożył niezwłocznie podanie o przyjęcie do kl. I lic, motywując je powrotem z wysiedlenia do rodzinnego miasta. Przyjęto je wraz z zaświadczeniem z państwowego liceum, I gimnazjum im J. Chreptowicza w Ostrowcu, gdzie dotąd uczęszczał. Wprawdzie po decyzję miał się zgłosić dopiero jutro, ale powiedziano mu, że może być spokojny, z takim zaświadczeniem nie powinno być żadnych kłopotów. A w ogóle są to lepsze papiery, niż ma większość jego przyszyłych kolegów.

\* \* \*

Po powrocie do swego dawnego, obecnie zrujnowanego mieszkania w Poznaniu, pozostała sprawa, której dotąd nie miał okazji zrobić. Po krótkim wytchnieniu, przebrał się w najgorsze, stare łachy i zszedł do piwnicy, otworzył drzwi korytarza kluczem i niepewnie, szukał właściwych drzwi. Na szczęście, numery mieszkań wypisane były kredą.

Ich piwnica była w dużej części pusta i dlatego wyglądała znacznie porządniej, niż ją zapamiętał. Góra węgla zmaląła, chociaż pozostało jeszcze sporo. Kamienica miała kotłownię i centralne ogrzewanie, więc przed wojną ojciec rzadko i tylko częściowo odbierał węgiel, jaki otrzymywali kolejarze, pozostałe kwity oddając Spółdzielni Mieszkaniowej. Ich rodzina używała niewiele węgla, matka tylko rzadko rozpałała ogień w piecu kuchennym, częściej gotując na gazie. Poza tym, węglem palili w piecu kąpielowym. Przynoszenie węgla stanowiło obowiązek Angusa, raczej przywilej, gdyż od czasu, gdy pierwszy raz zastąpił ojca, poczuł się ważniejszy w domu i bardzo pilnował tej funkcji. Zwykle wystarczało zrobić to raz na tydzień. Jednak w ostatnim roku przed wojną, ojciec odebrał na wszelki wypadek cały węgiel, prawie pół piwnicy zawałone było wysoką stertą, blisko sufitu. Obecnie zostało niewiele z tego zapasu. Dobrze, praca jaka go czeka będzie łatwiejsza.

Reszta piwnicy też opustoszała. W 1939 r. opróżniono i zlikwidowano strychy, przewidując możliwość pożarów po bombardowaniach. Chodziło o zmniejszenie ilości palnych materiałów blisko dachu i ułatwienie dostępu strażakom i członkom Obrony Przeciwlotniczej. Rozebrano zbudowane z desek przegrody między poszczególnymi strychemi, a na wielkich, pustych poddaszach ustawiono skrzynie z piaskiem i beczki z wodą. Lokatorzy stare meble i inne przedmioty, które przez lata gromadziły się na strybach, przenieśli do piwnic, a resztę wyrzucili. Obecnie, nie wiele z tego zostało, być może Niemcy wyrzucili resztę, albo zużyli na podpałkę. Angus zaczął przerzucać łopatką pozostały węgiel pod ścianę. Ta robota okazała się łatwiejsza, niż oczekiwał. Wkrótce dotarł do miejsca, gdzie cementowa

posadzka była bardziej zniszczona, a w rogu przy ścianie w ogóle cementu nie zostało, dziura wypełniona była drobnym węglem i miałem. Właściwie dopiero od tej chwili ubrudził się tak, jak się spodziewał, gdyż miał węglowy wybierał ostrożnie rękami, nagarniając go na łopatkę. Wreszcie, na granicy miału węglowego i piaszczystego gruntu, wyczuł pakunek i po kilkunastu minutach, odkopał go całkowicie i wyciągnął.

Był przejęty i wzruszony, aż trzęsły mu się ręce. Wprost trudno było uwierzyć, że to, co ukrył tutaj w listopadzie 1939, dzień lub dwa przed wysiedleniem – przetrwało burzę dziejową i zachowało się. Nikt wtedy nie traktował jego ostrzeżeń poważnie, on też nie miał pojęcia o wywiezieniu. Raczej zapewniał wszystkich, że - cała ulica - zostaną aresztowani, uwięzieni i kto wie co dalej (gdyż nie potrafił odczytać niemieckiego nagłówka z listy nazwisk w ciemnym mercedesie i zgadywał po swojemu). Bliższy opis tych chwil patrz koniec rozdziału 3 i początek 4, pierwszej powieści, pt. "Przecież to jeszcze szczeniak". Bolesne dla niego było, że chociaż pomylił się wówczas tylko o niecałe dwa dni, wszystkie ostrzeżenia kompletnie zlekceważono. Cóż, jeszcze wiele razy w późniejszym życiu zdarzało się mówić do głuchych uszu, im bardziej się starał, tym gorsze rezultaty. Umiał szybko powiązać różne spostrzeżenia, dość dobrze, choć nie zawsze trafnie przewidywać, zwykle wyprzedzał innych, ale nie miał daru perswazji, umiejętności przekonywania.

Wtedy starał się, chociaż ukryć ślady tego, co traktował jako swoją działalność wywiadowczą: spisy numerów niemieckich samochodów, które podjeżdżały pod zajęty przez Niemców gmach Gimnazjum Handlowego przy ul Śniadeckich. Po wojnie dowiedział się, że mieściło się tam dowództwo VII Obwodu Obrony Powietrznej. Dwa zeszyty, w których zapisywał oznaczenia samochodów oraz datę, a później również przybliżony czas, kiedy je zobaczył. Nagle przyszło mu do głowy, żeby razem z tymi zeszytami schować książkę, którą uważał za coś w rodzaju relikwii narodowej, przechowywanej w rodzinie. Według tradycji, miała ona stanowić własność Tadeusza Kościuszki, w co Angus wierzył bezkrytycznie.

Angus, podobnie jak wszyscy, spodziewał się, czy raczej pocieszał, że wojna nie może trwać długo. Dziś to wydaje się po prostu śmieszne, ale wówczas optymiści mówili o tygodniach, pesymiści o miesiącach. Był przekonany, że wkrótce będzie mógł wydobyć te cenne pamiątki, chodzi o schowek tymczasowy. Zapakował je prowizorycznie, w to, co miał pod ręką, korzystając z tego, że matka przy akcji wielkich zakupów i gromadzenia zapasów na czas wojny i spodziewane ciężkie lata powojenne, znosiła mnóstwo opakowań. Angus wybrał mocny papierowy

worek z trzech warstw, tak zwanego asfaltowanego, (raczej smołowanego) brązowego papieru. Dodatkowo założył zwykły worek jutowy, aby osłonić papier od uszkodzeń mechanicznych przy zakopywaniu. W głowie mu nie powstało, że paczka może tu leżeć nie sześć tygodni czy nawet miesięcy, ale prawie sześć lat. Teraz z worka jutowego pozostały resztki, rozlazł się prawie zupełnie, a nadspodziewanie worek papierowy wydawał się cały i w dobrym stanie. Angus oczyścił go najpierw i wytarł w miarę możliwości, chociaż tak naprawdę i worek i Angus pozostali czarni i brudni. Byle jak zgarnął odsunięty węgiel, a odzyskany skarb zaniósł do mieszkania.

Tam rozebrał się najpierw, brudne szmaty nadawały się tylko do wyrzucenia, a zanim sam się umył, włożył go do suchej wanny i jeszcze kilka razy dokładnie wytarł. Potem ułożył na stole na warstwie gazet i rozciął pakunek. O dziwo, zawartość robiła takie wrażenia jakby czas stanął, nic się nie zniszczyło, przynajmniej na pozór wyglądało, jak wczoraj zapakowane. Nawet sam worek nadal trzymał się doskonale, zwykły brązowy papier, wprawdzie każda warstwa jednostronnie „asfaltowana”, nadal były mocne.

Szczegółowe badania trzeba było zostawić na później, było już dość późno i wkrótce powinien wrócić ojciec. Nawet na męskim gospodarstwie, pewnie to byłby szok, zobaczyć taki bałagan. Więc najpierw umył wannę i całą łazienkę, potem postanowił umyć nawet ten rozcięty worek o tak niesłychanej trwałości i położyć go na balkonie do wyschnięcia, a w końcu zmywał długo sam siebie (w brrr, zimnej wodzie). Wreszcie zasiadł do oglądania znalezisk. Zeszyty, oczywiście się zdezaktualizowały, nie miały obecnie najmniejszego znaczenia – lecz ileż budziły wspomnień. Zobaczył sam siebie, jak kilka razy dziennie wychodził z domu, jak ćwiczył się w zapamiętywaniu numerów bez robienia notatek, idąc do końca ulicy Śniadeckich i z powrotem, po czym wpisywał to co dostrzegł do zeszytu. W ten sposób zapełnił jeden zeszyt i rozpoczął drugi Cóż, pomysł był dobry i te notatki mogły mieć wartość wywiadowczą, gdyby trafiły we właściwe ręce. Ba, gdyby. Ale tak się nie stało. W życiu, w przeciwieństwie do szkoły, znaczenie ma tylko to, co się doprowadziło do końca. Nauczyciel, może dałby mu lepszy stopień za pomysłowe rozpoczęcie zadania, za samą inicjatywę. Ale w życiu nie ma pośrednich ocen, albo osiągnie się cel, albo nie. Zero albo jeden.

Starał się najlepiej jak potrafił, lecz nic z tego nie wyszło, pozostały tylko wspomnienia. Owszem dla niego przeżycia osobiste i kształtowanie osobowości, coś znaczyło i pozostało. Fakt, przez całe życie dobrze pamiętał liczby.



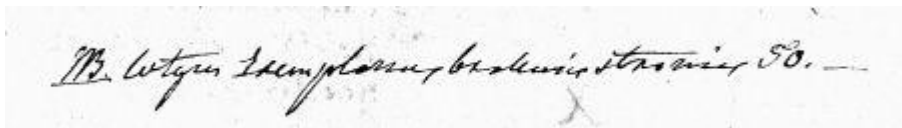
Z kolei zabrał się do dokładnego obejrzenia księgi. Duże i grube tomisko było podniszczone, ale chyba nie więcej, niż kiedy ją zakopywał. To był zielnik Szymona Syreniusa (Syreniusza), wydany w Krakowie w 1610-13 r. I częściowo uzupełniony w II połowie 18 w. Brakujące końcowe karty zostały ręcznie uzupełnione z benedyktyńską cierpliwością i starannością. „Parczewski scripsit. Legit Koszutski. Correxuit Poniński.”

Stocion - - - - - 1317	Orniowice mniejszy 625	Łytny Maczek 1364
Stomignat - - - - 304	Orniowice Wólki - 625	Łytno - - - - 915
Stota belica - - - 371	Orniowice Noski - 711	Ływiecaka polna 1317
Stole jabłko - - - 1379	Orniowice - - - 1371	Ływiecaka wólka 571
Stole włoski Matti Dole 1379	Orniowice - - - 1400	Ływiec polny
Stole Lile - - - - 711	Orniowice - - - 755	Ływohost - - - 257
Stomik - - - - 289 859	Orniowice pa. - - - 766	Ływohost (Czerwony) 251
Stotoglow - - - - 582	Orniowice - - - 559	Ływohost Okalny 255
Stoty Frank - - - 748	Orniowice jagody 1361	
Stychniżek - - - 1388	Orniowice - - - 671	
Stymnda - - - - 1098	Orniowice - - - tamże	

Parczewski scripsit Legit Koszutski.  
Correxuit Poniński

Angus słyszał od matki, że Kościuszko miał tę księgę otrzymać z rąk Czartoryskiego, gdy jako kadet i następnie wychowawca w Szkole Rycerskiej (od pół-brygadiera do kapitana), domownik i bibliotekarz księcia leczył kolejne dziury w klatce piersiowej po jakimś pojedynku.

Podobno odbył pojedynków więcej, niż powieściowy Atos. Prawie zawsze na szpady, miał na skórze multum, raczej drobnych dziur, a w zielniku opisano wiele znakomitych sposobów gojenia ran. Szczerze mówiąc, Angus uważał, że takie gadanie uwłacza pamięci wielkiego bohatera narodowego i męża opatrności, kryształowego wzoru itd. – wprost nie chciał tego słuchać. Nie obchodziło go, czy ta historia jest prawdziwa.



„W tym egzemplarzu brakuje stronic 50”, odmiennym, charakterystycznym pismem, energicznym, pochylonym w prawo. W księdze nie ma podpisu Kościuszki nazwiska, tylko signum Bibliotekarza, za podpisami Parczewskiego, Koszutskiego (który został krewnym Kościuszki) i Ponińskiego (chodzi o Kalikstą, w powstaniu komendanta Kamieńca; legenda jak dotąd sprawdza się).

Co do reszty, Angus przypominał sobie mętnie, że pamiątka ta trafiła po latach, przez Bębenków (może przydomek) z Galicji, do rodziny babki, z domu Borowskiej, która przez swoją drugą babkę z Kozłowskich spokrewniona była rzekomo z Kazimierzem Pułaskim. To już inna historia, łączy się z legendarnym spadkiem. Coś w rodzaju sum neapolitańskich, na które liczne grono milionerów czy miliarderów "in spe" ostrzyło sobie zęby. Przed wojną łożyli ostatnie grosze dla sprytnych adwokatów, zawsze o krok od decydującego sukcesu. Rodzice Angusa też dali się na to nabrać, wyrzucili w błoto grube tysiące; aż wstyd się przyznać.

Natomiast księga, przechowywana była w poszanowaniu przez dziadka i przekazana potem matce, która nie bardzo się nią interesowała. Bardziej angażowała się we wspomniany, legendarny spadek po Pułaskim. Ojciec po powrocie do domu nie dostarczył Angusowi żadnych nowych informacji. Angus powinien zwrócić się po nie do matki, kiedy dotrze ona do Poznania. Dodał, że bardzo się cieszy, ale niech Angus nie wyrobi sobie fałszywego obrazu: księga nie ma obecnie żadnej wartości materialnej, choć w przyszłości zapewne znów będzie miała. Zresztą to i tak bez znaczenia, takich pamiątek nigdy się nie sprzedaje. Angus może czuć się szczęśliwy, że będzie miał prawo ją troskliwie przechować i kiedyś przekazać swoim dzieciom, chyba, że zdecydowałby się oddać jako dar do muzeum pamiątek narodowych. - Chociaż – dodał ojciec – np. muzeum w Rappersville, było podobno pełne przypisywanym różnym wielkim ludziom pamiątek, lecz w gruncie rzeczy bez dowodu ich

autentyczności. Chodźko, był dobrym i pocziwym Polakiem, szlachetnym człowiekiem, o jakich się mówi – choć do rany przyłóż – ale fatalnym kustoszem. Potrafił podobno bez zmrżenia oka kupić starą fajkę, podretuszować ją trochę, przerobić i potem przypisać, powiedzmy, Sobieskiemu. Tutaj członkowie rodziny w coś wierzą, ale nie mają żadnych konkretnych dowodów. W ciągu stu kilkudziesięciu lat znalazłoby się bez wątpienia co najmniej kilka luk, uniemożliwiających ustalenie losów tej księgi.- Krótko mówiąc, gdyby ojciec Angusa dożył, zostałby zapewne teraz tzw. eurosceptykiem. Dostrzegał na pierwszym miejscu negatywne strony i co najdziwniejsze, często miał rację."

**(Si quis eris olim ... studiosus ob idque, nosse volens ... fata peracta ... (huius libri), perlege que dictavi ... ),**

Patrz: [www.zielnik-syrenniusa.art.pl](http://www.zielnik-syrenniusa.art.pl)

(sensacyjna jest historia wydania Zielnika - zarówno w druku przed wiekami, gdy autor zbankrutował i zmarł w zgrzyocie, a następnie Gabriel Joannicy zdołał znaleźć sponsorkę z domu Jagiellonów, Annę Królowną "Szwedzką, Gotską, Wandalską, W. Ks. Finlandzką" itd. która "nie szczędziła złota" na szlachetny cel. Także obecnie w Internecie...)

\* \* \*

We wtorek, dnia 8 maja 1945 w południe, Angus siedział znów w ławce szkolnej. Była mała i ciasna, stanowczo za mała nie tylko dla niego, ale i dla innych, w większości już całkowicie dorosłych mężczyzn.

Tego ranka, ponownie zgłosił się do sekretariatu gimnazjum i liceum imienia K. Marcinkowskiego i dowiedział się, że otrzymał na razie warunkową zgodę na uczęszczanie do klasy I liceum typu mat-fiz., klasy typu matematyczno-przyrodniczego niestety nie było. Warunkowo - znaczyło to, że oprócz ogólnego zaświadczenia z poprzedniego miejsca nauki, powinien dostarczyć jeszcze oceny i bieżące dane ze szkoły, z której się przenosi, a ponadto jego bieżące wyniki powinny odpowiadać obecnemu poziomowi, nazywano to egzaminem sprawdzającym. Właściwie czysta formalność, o rezultat mógł być spokojny. Ostrowieckie gimnazjum miało poziom nie gorszy od szkół w wielkich miastach, a sam Angus był dobrze przygotowany, jego nowi koledzy nie mieli możliwości korzystać z tajnego nauczania w czasie okupacji. A więc układało się wspaniale, mógłby od razu udać się do klasy, gdyby nie to, że nauka rozpoczynała się dopiero w południe. Zresztą różnie, w różne dni.

Zależało to od możliwości. Mianowicie, pomieszczeń było znacznie mniej niż klas, nie mówiąc już o tym, że i budynków mniej niż szkół. Na

przykład w obecnym budynku mieściły się dwie różne szkoły, a pomieszczenia zajęte były od rana do wieczora. Plan układano najwyżej na okres tygodnia, co jakiś czas wprowadzano zmiany. Trzeba było dostosować się do możliwości nie tylko lokalowych, ale i ludzkich, profesorowie też mieli więcej obowiązków, nie pracowali tylko na jednym etacie. Mniej, niż połowa z nich przeżyła, z konieczności mieli podwójną, a często potrójną ilość lekcji. Przeważnie, uczyli w kilku różnych szkołach.

Angus nie miał trudności komunikacyjnych, był w tym wyjątkowo korzystnym położeniu, że ze swego mieszkania przy ul. Sniadeckich do gmachu szkoły mógł swobodnie przejść w pięć minut, a biegiem dosłownie w parę. I to cichymi, pustymi ulicami, często środkiem asfaltowej jezdni, gdyż ruch na nich był minimalny, a jeżeli akurat jechało jakieś auto, słyszeć je było z dala i wtedy po prostu schodziło się na chodnik. A to zdarzało się prawie równie rzadko, jak przed wojną; dopiero ulica Matejki była bardziej ruchliwa. Asfalt na jezdniach na ogół w zupełnie dobrym stanie, chodniki w gorszym, miejscami uszkodzone i postrzelane, podobnie mury i domy.

Klasa I matematyczno-fizyczna była liczna, ponad 40 osób w znacznej większości całkowicie dorosłych, średni wiek o kilka lat wyższy, niż w gimnazjum i liceum im. Joachima Chreptowicza w Ostrowcu. Owszem, było kilku młodszych, ale żaden nie w wieku zbliżonym do Angusa. To zrozumiałe, bo w większości Poznaniacy, którzy w czasie wojny absolutnie nie mieli możliwości się uczyć, zorganizowanie tutaj tajnego nauczania nie było możliwe. Wyjątek stanowiło kilku wysiedlonych, którzy też powrócili, ale i w GG nie mieli okazji uczyć się tak stosunkowo regularnie i intensywnie, jak Angus. No i paru z zamożnych rodzin, ci nawet we włączonej do Niemiec Wielkopolsce, znaleźli możliwość prywatnej nauki – lub raczej znaleźli ją ich rodzice.

Angus zorientował się też, że przez te kilka dni przerwy, gdy musiał się ukrywać i potem uciekał nic nie stracił a raczej z programem był do przodu, gdyż tutaj szkoły otwarto później. Te lekcje już przerabiał, ale faktem było, że na przykład ta nauczycielka, matematyki, była świetna i miała zupełnie nowe, indywidualne podejście. W tej chwili, przerabiali przekształcenia wzorów trygonometrycznych. Angus dotąd zakładał, że tych dwudziestu-kilku wzorów trzeba po prostu nauczyć się na pamięć, tak jak tabliczki mnożenia albo słówek łacińskich i potem odpowiednio stosować, zdecydować się tylko, który w danym wypadku najlepiej użyć. Tymczasem Profesor Zawieyska wywołała do zadania, podobno najlepszego matematyka klasy, a ten otwarcie przyznał się, że nie pamięta żadnego z owych wzorów, za wyjątkiem tylko jednego, że suma kwadratów sinusa i cosinusa danego kąta równa się zawsze 1. Potrafi

jednak wyprowadzić każdy wzór i dojść do wyniku na podstawie logicznego rozumowania. Pani profesor, mimo, że trwało to trochę dłużej, cierpliwie dała mu czas, a on rzeczywiście wyprowadzał je i doszedł do prawidłowego rozwiązania, w nieco inny sposób. Trzeba dodać, że lekcja od początku prowadzona była bardzo dynamicznie i szybko, widać było, że chodzi o przerobienie jak najwięcej materiału, Angus znał te objawy i umiał je docenić z okresu nauki na kompletach. A jednak w tym wypadku, nauczycielka uznała, że warto poświęcić trochę czasu na samodzielne myślenie. I rzeczywiście. Nasunęło się takie porównanie, jakby to był oddział partyzancki, gdzie wszyscy mają wspólny cel i do niego dążą, a dowódca wskazuje najlepszą drogę, nie rozkazuje, nie narzuca swego autorytetu. Po prostu jest najbardziej kompetentny i wyłącznie dzięki temu traktuje się go, czy też ją - z kompletnym zaufaniem. W tym wypadku, na pewno było warto tak postąpić, klasa przez cały czas brała czynny udział, nie nudziła się, choć zapewne nie wszyscy potrafili docenić piękno takiego wyjścia. W każdym razie, Pani Zawieyska doceniła je oświadczając, że jeżeli ktoś potrafi sobie tak poradzić, to ona wybacza zaniedbanie w nauce pamięciowej.

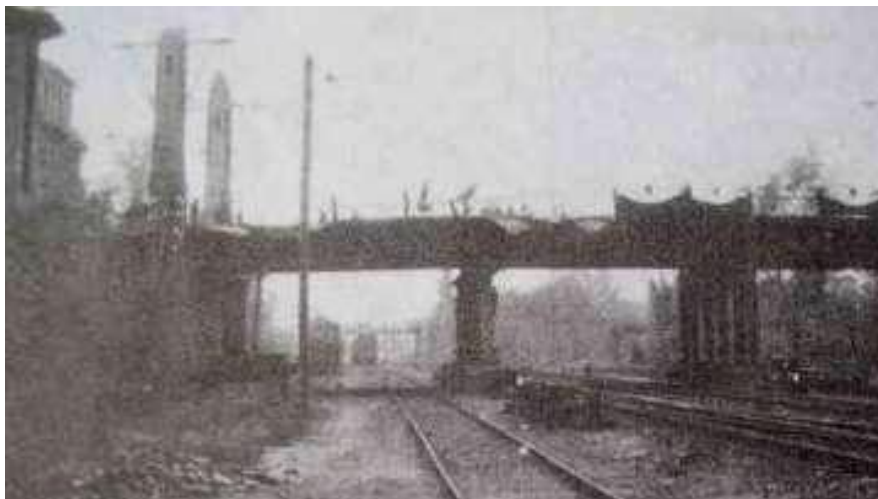
W miarę, jak zapoznawał się ze szkołą, Angus zauważył, że całe grono profesorskie było świetne, składało się z doświadczonych, przedwojennych profesorów (dosłownie, rzeczywistych profesorów nominowanych) i chyba jeszcze na lepszym jeszcze poziomie niż w Ostrowcu. To trudno porównywać, ale w każdym razie nie gorszym. Nic dziwnego, bo jak wzmiankowano już w poprzedniej książce, to był zawód wysoko ceniony i przebili się do niego najlepsi z najlepszych. Jest faktem, że wiele rzeczy nie szło sprawnie i dobrze w przedwojennej Polsce, ale przynajmniej jedna była na najwyższym poziomie – mianowicie szkoły średnie. Ta tradycja przetrwała wojnę i okupację, a potem pierwsze lata powojenne, dopiero potem zaczął się upadek. Autor osobiście uważa, że dzięki temu Polska zdołała przetrwać zbieg tak wielu i fatalnych wydarzeń, a potem, dopiero od degradacji szkół zaczęła się degradacja i upadek społeczeństwa, co jednak trwało w czasie. Dzięki temu to społeczeństwo zdołało jeszcze wyzwolić się. Natomiast potem odczuło dotkliwie skutki chorego szkolnictwa. Może to uda się znowu nadrobić, ale na nowych ludzi którzy wyjdą z nowych szkół trzeba długo czekać.

Oczywiście, poważny problem wynikał z tego, że tak wielu zginęło, mniej, niż połowa przedwojennych profesorów przeżyło. Paradoksalnie, to nie wynikało z działalności konspiracyjnej, w szczególności tajnego nauczania (bo Niemcy mieli pilniejsze rzeczy na głowie), ale po prostu z programowego tępienia przez okupantów inteligencji. Dyplom akademicki, a nawet tylko pogłoska, że ktoś posiada wyższe

wykształcenie była jakby sygnałem, że Gestapo ewentualnie NKWD powinno się nim zainteresować. Praktycznie, oznaczało prawdopodobny wyrok śmierci, może chwilowo w zawieszeniu, najrozsądniej było w takim wypadku zmienić miejsce zamieszkania, wyjechać gdzieś daleko. Ale po pierwsze, nie zaraz to sobie Polacy uświadomili, a po drugie, zwłaszcza ludzie starsi, nie potrafili się zwykle szybko decydować, mieli nadzieję, że jeżeli będą siedzieć cicho, jakoś przeżyją. Zwykle ta nadzieja zawodziła.

Wprawdzie liczba nauczycieli radykalnie zmalała, ale z drugiej strony pracowali oni na okrągło, zwykle na kilku etatach i z pełnym poświęceniem. Zapałem i chyba nawet entuzjazmem pokonywali zmęczenie, a nie dopadła ich jeszcze nuda i monotonia rutyny. Na razie, byli szczęśliwi że znów mogą robić to, do czego tęsknili przez lata, o czym marzyli, do czego byli przygotowani, a może nawet stworzeni czy powołani. Właściwie, była to trochę podobna sytuacja, jak objawy, które Angus zaobserwował w wypadku własnego ojca, mimo, że w tym wypadku nie chodziło o nauczyciela.

Natomiast podobieństwo występowało i w tym, że również i nauczyciele, byli marnie wynagradzani, z jednej pensji absolutnie nie dałoby się żyć, a razem z nadgodzinami w podwójnym wymiarze, z trudem, dopiero przy trzech etatach układało się lepiej. No tak – ale do tego trzeba mieć siły i zdrowie, samo bieganie z jednego miejsca do drugiego kosztowało wiele wysiłku i czasu. Właściwie nie było komunikacji publicznej, owszem, tramwaje już kursowały, najpierw tylko



z Górczyna do mostu kolejowego, potem do Kaponiery i aż do rynku Jeżyckiego zaraz potem druga linia do Rynku Wildeckiego, przedłużona do ul Traugutta i następnie aż do Dębca. Ale dostać się do tramwaju, to całkiem inna sprawa, na otwartych drzwiach wisały ogromne winogrona, a oprócz tego pasażerowie czepiali się wszędzie, z małą zręcznością i

zupełną pogardą życia. Czasem nawet od wewnętrznej strony między szynami (oczywiście najgorzej było, jeżeli taki nawis trafiły się na obu tramwajach, które mijają się, jadąc w przeciwnie strony; dobrze, jeżeli ludziom udało się rozpląszczyć, ale bywały wypadki, że strącali się wzajemnie). Na szczęście, tramwaje jeździły stosunkowo wolno i tylko dlatego, ulice nie były zasłane trupami. Ludzie młodzi, polegali na swoich akrobatycznych zdolnościach, ale starsi częściej rezygnowali i szli pieszo, zwłaszcza, że nawet jeżeli udało się dostać do tramwaju, to jeszcze trudniej było z niego się wydostać. Jeżeli nie udało się wysiąść na przystanku, to trzeba było próbować znowu na dalszym, lub jechać aż do końca trasy.

W porównaniu do normalnych szkół przed i powojennych, różnica w tych przejściowych latach była taka, że uczniowie byli ogromnie zaangażowani, chcieli się uczyć z całych sił. Nauczyciele, w tej sytuacji raczej wskazywali im drogę, wyznaczali cele i bardziej koncentrowali się na postępach i programie, niż na sprawdzaniu wiadomości. Właściwie nie było to tak bardzo potrzebne, uczniowie dostatecznie sami o to dbali. Można powiedzieć, że nauczyciele mieli dobre pojęcie, ile w przybliżeniu wart jest każdy z uczniów, ale raczej nie mieli czasu, żeby ustalać to dokładnie. W tej sytuacji, ostatecznym kryterium była opinia klasy, na ogół była bezbłędna i nauczyciele przeważnie się nią kierowali. Jeżeli jest to trochę nietypowe, to jednak Angus takie reguły już znał z tajnych kompletów. Chociaż tam, przy niewielkiej ilości uczniów sprawdzanie opanowania poprzedniego materiału i w ogóle kontakt z nauczycielem był o wiele ściślejszy, to jednak utarł się zwyczaj, kierowania się opinią zespołu. Właściwie wszyscy nauczyciele z którymi Angus miał okazję się zetknąć, tak postępowali. Natomiast przed wojną zwyczaje były inne - a w parę lat później, znowu - i to jeszcze bardziej. Sam nie wiem, jak i czym to wyjaśnić, by czytelnik zrozumiał o co chodzi i następnie dlaczego tak się stało. W przybliżeniu, to tak jakby w szkołach okres absolutyzmu i dyscypliny bez wyjaśnień, przerwany został przez kilkuletni okres demokracji, nie tyle formalnej, co praktycznie stosowanej demokracji pierwotnej. Lepiej tego wyrazić nie potrafię. A co do wyjaśnienia dlaczego, widzę dwa powody: po pierwsze sami uczniowie byli bardziej dojrzałymi, zainteresowanymi i oczywiście dorośli, a po drugie nauczyciele wyjątkowi, na najwyższym poziomie, mam na myśli intelektualnym, nawet jeżeli trochę wyszli z rutyny i sami musieli sobie coś odświeżać. Wspólnota interesów, żeby nie nadużyć modnego obecnie słowa, solidarność ciała pedagogicznego i podmiotu nauczania, nie, słowo podmiot tu nie pasuje, ludzi z celem życiowym, szukających wiedzy.

Jednak niezależnie od podziwu do grona nauczycielskiego, Angusa bardziej interesowali nowi koledzy, Podstawowa większość, można powiedzieć, pochodziła z innego świata, miała za sobą całkiem inne doświadczenia życiowe. Starsi, ale może jednak mniej od niego przeżyli? A może właśnie przeciwnie? Nie potrafił tego ocenić. W każdym razie nie miał poczucia niższości, ani też wyższości – tylko ciekawość. W Ostrowcu, w ogóle w GG, udział w konspiracji był raczej regułą. Prawie każdy młody człowiek przez to przeszedł, choć wcale nie było łatwo się załapać, wiedział to z własnego doświadczenia. Niektórzy z jego kolegów mieli – wtedy naprawdę się w to wierzyło – szczęście i przywilej, uczestniczyć w czynnej, otwartej walce, jego udział był właściwie tak znikomy, że nie warto wspominać, przynajmniej to zobaczył. Tutaj raczej nie było takiej możliwości, ale warunki życia były całkiem inne. Okupacja o wiele bardziej odczuwalna, życie skrępowane i drobiazgowo regulowane przez władze, przepisy egzekwowane bezpośrednio przemocą. Właściwie życie w więzieniu, cały czas. Nie potrafił sobie tego nawet wyobrazić, a prawdopodobnie nie zdołałby przeżyć.

W tej chwili Angus ocenił, że to wszystko, czego dotąd doznał w życiu – absolutnie wszystko – także obóz, wysiedlenie, najbardziej dramatyczne przejścia, nawet chwile na dnie rozpacz, to była jakaś szczególna łaska od Boga. Przez cały czas miał nieprawdopodobne szczęście. Jakby ktoś prowadził go za rękę, coś w rodzaju kompleksu piechura, albo filozofii Berkeleya. Zdarzenia dzieją się na zewnątrz, widzi je, lecz jak za szybą, nie dotykają go osobiście, nie miał z nimi bezpośredniego kontaktu. Czy to, że teraz siedzi w nowej klasie, wśród nowych kolegów, jest rzeczywistością? Czy też ktoś nadaje film, który on przeżywa – dzisiaj mówi się - uczestniczy w wirtualnej rzeczywistości.

W każdym razie, jedno było pewne: musi teraz jak najszybciej nawiązać nowe znajomości, poznać środowisko i żyć się z nim. A to dlatego, że przyjechał tu z konkretnym celem – założyć nowy dział, czy raczej filię organizacji z Ostrowca, rozbudować, a przynajmniej sprawdzić tutejsze warunki i możliwości. Krótko mówiąc, uważał się za coś w rodzaju emisariusza. A można było przypuszczać, że teraz sytuacja prawdopodobnie się odwróci w tym sensie, że na zachodzie łatwiej będzie działać, niż na wschodzie. Nie wątpił też, że z biegiem czasu minie pierwszy szok i uda się nawiązać przynajmniej część dawnych kontaktów i odbudować z dawnych struktur. Czyli trzeba na razie żyć codziennym życiem, a jednocześnie myśleć o przyszłości, przygotować się.

Znalazł się w klasie, która stanowiła już żyłą całość, wprowadzie od niedawna, on na razie był obcym z zewnątrz. Trzeba więc najpierw poznać się i dać się poznać. Bardzo korzystne okazało się, że mieszkał

tak blisko szkoły. Z konieczności, plan lekcji nie zawsze dał się idealnie ułożyć, zdarzały się puste godziny, nie przewidziane dziury. Profesorowie nie byli w najlepszej kondycji fizycznej, robili co mogli, jednak czasem zdrowie wysiadło. Zrozumiały, przy omówionych już trudnościach komunikacyjnych i wysiłku, związanym z dotarciem do szkół.

Te trudności dotyczyły i uczniów, a niektórzy z nich mieszkali daleko lub nawet bardzo daleko. Na przykład, dla młodego człowieka o dobrej kondycji droga z Dębca do szkoły mogła trwać nawet do godziny, albo odpowiednio krócej, jeżeli wyszedł zwycięsko z parokrotnych zapasów przy wchodzeniu i wychodzeniu z tramwaju. W autobusach też nie było łatwiej. Nie zawsze udało się wydostać i niektórzy woleli wisieć przy pojazdach, ale to też wymagało sprawności. Na przykład, siedzący przed Angusem kolega przyjeżdżał lub przychodził z ławicy, za lotniskiem.

Jeżeli wypadała lekcja, ten czas trzeba było gdzieś spędzić – chociażby w pobliskim Parku Wilsona. Jeżeli jednak pogoda nie dopisywała, lepiej u bliżej mieszkającego kolegi. Mieszkanie Angusa znajdowało się tuż obok, okna wychodziły na, lub raczej nad park, a w dzień całe stało puste, nawet pluskwy się chowały. Toteż od pierwszych dni, koledzy wpadali do Angusa, a obok lekcji, wielu odnalazło wkrótce wspólne zainteresowanie, nieśmiertelne szachy.

Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia – to taki tani dowcip. Ale jeżeli chodzi o zawieranie znajomości i nowych przyjaźni, to rzeczywiście w klasie decyduje o tym zwykle najbliższe sąsiedztwo, przysłowiowo mówi się o koledze z jednej ławki, W tym wypadku Angusowi dopisało szczęście, jego najbliższym sąsiadem został Gienek Świgaj (typowo poznańskie nazwisko, tylko tu spotkał Angus jakby tryb nakazujący czynność, rozkazujący, w rodzaju Pomykaj, Czekać itp.).

Gienek był stosunkowo młody, miał dopiero 20 lat, wzrostem dorównywał Angusowi, ale dużo lżejszy. Szczupły szatyn z bujną czupryną, poruszał się szybko i tak samo mówił, przy czym często zapalał się i z zaangażowaniem przedstawiał swoje myśli, przekonania lub racje. Grał w szachy i to dobrze, przeważnie wygrywał z Angusem, ale wolał ping-ponga, to bardziej odpowiadało jego szybkiej reakcji. Przyniósł nawet do Angusa swój zestaw i siatkę, która przymocowali na rozsuwanym stole w pokoju balkonowym. Angus nie nadawał się na przeciwnika, mając zdecydowanie wolniejszy refleks, bardziej odpowiedni do szachów. Przeważnie grywał z Kogutem, który też miał daleko do domu, Angus ograniczał się do kibicowania, natomiast Kozłowiecki, również mający stałe zaproszenie, rzadziej z niego korzystał. Kogut i Kozłowiecki siedzieli w ławce bezpośrednio z przodu i byli zaprzyjaźnieni ze Świgajem, obecnie za jego pośrednictwem zbliżyli się do Angusa.

Niestety, Świgaj był poważnie chory. Przed wojną, chłopak z wiary, typowy „szczun” Wildecki, chociaż właściwie mieszkał aż na Dębcu, przy tym oczytany i bystry, przed czasem ukończył gimnazjum. Ojciec został aresztowany w czasie okupacji zginął w więzieniu, nie wiadomo dokładnie, ale albo przy końcu 1940, albo na początku 1941 roku. Gienek przejął po nim przekonania, był endekiem, a cześć serca ciągnęła go do Korfantego i do Chrześcijańskiej Demokracji. Był bardzo religijny, z początku Angusowi wydawało się nawet, że są to ciasne przekonania, ale potem zdecydowanie zmienił osąd. Przekonał się, że Świgaj był równie silnie zaangażowany, jak inteligentny, a w końcu każdy ma prawo wybrać sobie rodzaj zaangażowania. Okupację przeżył w nader trudnych warunkach, mimo młodego wieku skierowany przez Arbeitsamt do pracy w tzw. „Afie” – fabryce akumulatorów do łodzi podwodnych. Praca w zakładach zbrojeniowych nie tylko wyjątkowo ciężka, z reguły zamiast 10 godzin przedłużana do 12, a nawet 14 i więcej godzin dziennie. Nieodłączne zatrucie ołowiem, gdyż władze zupełnie się tym nie przejmowały i nie dbały o żadne środki ochronne dla pracowników. Za wyjątkiem wydawania na miejscu po pół litra mleka, ale bez zachowania nawet pozorów higieny, tak że nie wiadomo, czy to był czynnik dodatni, czy raczej ujemny. Przy stałym złym odżywianiu i ostrych zimach, którym towarzyszył powszechny brak opału, warunki życia okazały się zbyt ciężkie dla młodego organizmu. Drugi z bliskich kolegów Angusa (pierwszym był Felsenstein z Liceum Ostrowieckiego) chorował na gruźlicę, ale był w o tyle trudniejszym położeniu, że nie miał możliwości odpowiedniego dbania o zdrowie, a zwłaszcza tak bardzo ważnego dobrego odżywiania. Matka i jeden brat, chyba starszy, pracowali i starali się o niego dbać, ale przeważnie nie mieli większych, ba, praktycznie żadnych możliwości materialnych. Zresztą wszystkim zaledwie udawało się przeżyć, jak to ilustrował przykład samego Angusa. Pozostawało życie ostrożne, na pół gwizdka, stale oszczędzanie się, obserwowanie swego organizmu i obchodzenie się z nim jak z jajkiem. Jakie to trudne, Angus doświadczył na sobie, wprawdzie z innych przyczyn (uszkodzenie kręgosłupa, patrz poprzednia książka). Jednak w tym wypadku, częściowo odniosło to skutek, Gienek ukończył szkołę i następnie studia, rozpoczął z powodzeniem pracę zawodową, lecz zmarł przedwcześnie, koło czterdziestki.

Gienek nie brał dotąd udziału w zorganizowanym ruchu oporu, w konspiracji. Szczerze mówiąc, w Poznaniu niewielu takich ludzi przeżyło, warunki były tu o wiele trudniejsze, niż w GG, a ilość ofiar bez porównania wyższa. Nie mówiąc o tym, że rodzina zamordowanego żyła w cieniu podejrzania i automatycznie pod lupą. Więc pozostawało tyle, że

w pracy starał się w bardzo oględny sposób, żeby produkowane tam akumulatory nie cieszyły się zbyt długim życiem. Odpowiednie sposoby krążyły między polskimi robotnikami, przekazywane szeptem, w najgłębszym zaufaniu, często jako opowieści o kimś innym. Właściwie nie wiadomo nawet, czy były one skuteczne i jak wielki naprawdę przynosiły efekt, zwłaszcza że musiały być bezpieczne i nie do wykrycia w normalnej kontroli. Na przykład powodujące szkody dopiero po pełnym uformowaniu się płyt, a więc szeregu cykli pracy. Być może, taki głęboko ukryty, drobny sabotaż dawał mniejsze rezultaty w odniesieniu do sprzętu, niż dla samych ludzi, którzy to robili; podnosił ich na duchu, poprawiał samopoczucie.

Poza tym, te niewielkie okruchy wolnego czasu, jakie mu niekiedy pozostawały, Gienek przeznaczal na uczestnictwo w nabożeństwach, zwłaszcza śpiewanych, w samym Poznaniu lub najbliższych okolicach. Angus po raz pierwszy z tych opowiadań, dowiedział się o szczególnej roli Kościoła w Wielkopolsce. Jest faktem, że zarzuty, jakie w okresie komunistycznej władzy tendencyjnie wysuwano pod adresem kościoła, nie odpowiadają prawdzie. Oczywiście, ludzie są różni i nawet wśród księży trafiały się wyjątki o nieodpowiednim poziomie moralnym. Ale ocenę najlepiej ilustruje fakt, że średnia zmordowanych księży jest wyższa od średniej wszystkich wymordowanych obywateli Państwa Polskiego łącznie z Żydami Polskimi – może należałoby powiedzieć, niż średnia wszystkich obywateli polskich bez względu na wyznanie. Z tego w Wielkopolsce wyjątki wśród księży były chyba najrzadsze, a procent ofiar najwyższy. W Poznaniu, okupanci systematycznie zamykali kościoły, przy końcu okupacji tylko dwa pozostały czynne. Otóż jedną z form zachowania życia religijnego i być może poczucia polskości, choć oczywiście to nie mogło być nawet wzmiankowane, były nabożeństwa z śpiewami pieśni religijnych przez chóry. Obok śpiewu z udziałem wiernych, znalazło się mnóstwo doskonałych śpiewaków i zespołów muzycznych. Gienek starał się ze wszystkich sił, nie opuścić w miarę możliwości ani jednego z takich nabożeństw. Twierdził, a Angus wierzył mu na słowo, że po takich zdarzeniach i on sam i inni, wracali silniejsi i z nową otuchą. Warto było nie tylko wszelkimi sposobami postarać się o czas, ale i odbyć daleką drogę, czekać na deszczu lub mrozie, nie dospać lub nie dojeść i wyteńczyć wszystkie siły, żeby tylko wziąć udział i poczuć więź, łączącą wszystkich uczestników, to uczucie wspólnoty i wyższej jedności. Z jednej strony, takich uczuć doznawali może pierwsi chrześcijanie, z drugiej, Angusowi przypominało to październik 1939, pełne kościoły, rozbrzmiewające jednym wielkim szlochem. Do czasu, uniesieniem pieśni i modlitw w intencji Ojczyzny, a potem bez

wymieniania intencji, wreszcie oczekiwanie cudu i przepowiednie tegoż, dokładnie 8 grudnia. Widział to już raz i zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę, to wszystko nie może pomóc, to tylko tworzenie złudzeń i nie ma znaczenia, ilu ludzi im ulega – oni po prostu wierzą w to, co bardzo chcą wierzyć. Pierwsi chrześcijanie, teraz rozumiał, ułatwiało to im śmierć. Bliżej, murzyni amerykańscy, w okresie niewolnictwa – w podobny sposób powstały melodie i śpiewy, cała kultura zwana gospel. Polacy w Wielkopolsce, właściwie „Wartegau”, byli właśnie dokładnie w takim samym położeniu, pokonani i sprowadzeni do roli niewolników, bez szans na walkę, przynajmniej chwilowo.

Obraz postaci wydawał się jasny, ale nie wszystko tak proste, jak się wydało. Zasadniczą niespodzianką dla Angusa okazało się, że Gienek bez porównania lepiej od niego znał literaturę, zarówno polską, jak i zagraniczną, w tym również i niemiecką. To go zdziwiło, gdyż chociaż Świgaj był ogólnie odczytany, to niewątpliwie on miał nad nim dużą przewagę. Nie spotkał dotąd nikogo, kto miałby tak silną potrzebę, nałóg, a może nawet uzależnienie, wymagające nieustannego czytania, pochłaniania i przeżuwania zadrukowanego papieru. Ani też nikogo, kto miałby takie możliwości przerobowe, czyli szybkość czytania i w związku z tym, ilości skumulowanych informacji, zwykle nieuporządkowanych. Tymczasem obecnie zauważył, że ma ogromne braki. W wypadku literatury niemieckiej, to było zrozumiałe: on sam świadomie, chociaż i głupio odwrócił się od niemieckiego języka i wszystkiego, co się z tym łączy – także i literatury, nie chciał o tym słyszeć, nawet mimo nacisku i nalegań rodziców, bardzo naprężonych stosunków – nigdy-nigdy i za nic. A przecież Gienek miał o wiele więcej uczuciowych powodów, by odpychać wszystko, co niemieckie – stracił ojca, przeszedł piekło i ledwie przeżył, a nie wiadomo jeszcze, na jak długo. Więc, jak to możliwe?

Tymczasem odpowiedział na to prawie takimi samymi słowami, jak matka Angusa – że jednak Niemcy wnieśli ogromny wkład do kultury i w ogóle wartości ogólnoludzkich, niedostrzeganie tego to ślepotą. Niestety, mieli ostatnio fatalnego pecha, powierzając władzę nad sobą wściekłemu psom. Ale to zdarzało się już i nadal może zdarzyć także innym narodom, nie daj Boże, żeby nas kiedyś spotkało. Zasadnicza różnica w porównaniu z Polakami polega na tym, że Niemcy przystosowali się do ulegania i podporządkowania władzy. Od wieków zostali osiodłani i ujarzmieni przez rządzących, często krwawo i brutalnie, przykładem wojny chłopskiej. Natomiast Polacy zachowali zamiłowanie do samowoli, nawet anarchii, są wybujałymi indywidualistami i buntują się, czasem nawet bez powodu. Więc na razie, to niebezpieczeństwo nam nie grozi.

- Fakt, że Niemcy sprawili nam wyjątkowo krwawą łaźnię, 22% zabitych, to odpowiada dwukrotnemu zdziętkowaniu, od czasów rzymskich nic podobnego się nie zdarzało na naszym obszarze cywilizacyjnym, nie mówiąc o nieporównywalnie mniejszej skali. Ale klęska przyniesie opamiętanie, niestety dopiero klęska i to, że sami też na tym źle wyszli. Chodzi nie tylko o skutki przegranej wojny, ale także, że teraz kilka pokoleń będzie żyło z garbem - to znaczy poczuciem winy i wyrzutami sumienia. A najgorsze, że nie dotknie to prawdziwych zbrodniarzy, ci i tak żadnych sumień nie mają, ale ludzi porządnych albo takich, którzy nie wiele zawinili, tylko tym, że słuchali zbrodniarzy. -

Gienek dodał, że nie kieruje się bynajmniej duchem chrześcijańskim, ale po prostu zdrowym rozsądkiem, tych rzeczy nigdy ze sobą nie miesza. A tak na marginesie, to on z zamiłowania jest humanistą, nauki ściśle traktuje utylitarnie. Widząc zaś zdziwienie Angusza, który poznał go jako nie tylko doskonałego ucznia, ale właśnie zdolnego matematyka, wyjaśnił, że po prostu wybrał dla siebie taki



kierunek, jakiemu będzie mógł podołać. Poznań miał od przed wojny Wyższą Szkołę Budowy Maszyn i Elektrotechniki, która wprawdzie nie miała jeszcze praw akademickich, ale cieszyła się równie doskonałą opinią, jak np. Szkoła Inżynierska Wawelberga w Warszawie. Wypuszczała bardzo cenionych fachowców. Ta szkoła mieściła się stosunkowo blisko jego domu, przy Rynku Wildeckim i jest przekonany, że mimo problemu ze stanem zdrowia zdoła ją ukończyć. Wybrał już nowy kierunek, budownictwo, nie architekturę, lecz konstrukcje lądowo-

wodne – mosty, drogi, kanały itp. Głównie z tego powodu, że właśnie w tym zakresie profesorem jest wspaniały fachowiec Łucjan Ballenstaedt, znany nie tylko w kraju, ale i za granicą, który stworzy katedrę na odpowiednio wysokim poziomie. Po obecnej



Prof. Ballenstaedt, zaprojektował most im. Królowej Jadwigi, także Uniwersytecki, Teatralny i inne.

wojnie, w Polsce przez wiele lat potrzebni będą inżynierowie w tej specjalności, więc ma nadzieję przydać się, być pożytecznym.

A szczerze mówiąc, myśl o takich trwałych śladach, tworze swojej działalności, też go ciągnie, myśli o tym z fascynacją. Więc cóż, już się zdecydował, a zamiłowania humanistyczne pozostaną jak prywatne hobby. Jest jeszcze jeden argument, zdaje sobie sprawę, że obecnie stanowi duże obciążenie dla rodziny, w gruncie rzeczy pasożytuje, a oni ledwie zdołają podołać, a to jest najszybszy sposób, w jaki zdoła sytuację zmienić. Cóż można dodać, plan był dobrze obmyślony, ale Świgaj nie docenił, jak duży wysiłek związany jest z pracą w warunkach polowych. Zapewne przeciążył organizm, choroba wróciła z fatalnym skutkiem. Można powiedzieć, że do jego śmierci przyczynił się w końcowej fazie sukces zawodowy.

Mieczek Kogut, siedzący bezpośrednio przed Świgajem, był średniego wzrostu i dość szczupłym blondynem o piaskowych włosach i raczej okrągłej głowie i twarzy, lekko piegowatej. Golił się codziennie i to starannie, co wywołało plotkę, że zarost ma rudawy. On sam temu zaprzeczał, mówiąc że w odróżnieniu od niektórych, ma wpojone przez ojca podstawowe zasady higieny i porządku. Podobnie jak w Ostrowcu, większość uczniów w tej klasie miała tylko jednego z rodziców, a czasem żadnego. Jednak Mieczek był w tym szczęśliwym położeniu, że miał i ojca i matkę. Ale to raczej teoretycznie, gdyż ojciec był w Anglii, w Polskim Lotnictwie i chwilowo nie zdecydował się na powrót do Polski do czasu, aż okupacja sowiecka się nie zakończy. Podobnie jak przedtem z Niemcami, wszyscy mieli nadzieję, że to nastąpi w najbliższym czasie. Powszechnie wierzono, że wolny świat nie dopuści, żeby pierwszy kraj który bił się z nieludzkim ustrojem totalitaryzmu i nie przestał walczyć przez cały czas, od pierwszej do ostatniej chwili, który był w najtrudniejszych chwilach nazywany natchnieniem narodów, teraz, po zwycięstwie, został pozostawiony w mocy jeszcze straszniejszego imperium zła, porzucony przez sojuszników. Uważano to za pechowy stan przejściowy, zapominając, że tymczasowy, miewa często tendencję do długiego trwania.

Przed wojną ojciec Mieczka był zawodowym podoficerem lotnictwa, nie pilotem, lecz pracownikiem obsługi. Wówczas stopnie oficerskie zaklepane były raczej dla personelu latającego, w pierwszym rzędzie pilotów, zaś wysłużonych oficerów z innych broni, przenoszono często na stanowiska tzw. obserwatorów, którzy w gronie lotniczym traktowani byli zwykle jako wpływowi i ważni, ni to pies ni wydra. W gruncie rzeczy jednak martwe dusze, obciążenie, dziadki na pół-emeryturze. Technicy i

pracownicy warsztatowi, mieli najwyższe stopnie podoficerskie, dotyczyło to nawet najbardziej cenionych fachowców. Ale pensje – i warunki życia mieli całkiem niezłe. Sierżant Kogut był elektrykiem, specjalistą od instalacji, znał się podobno na wszystkim w samolocie, a faktycznie ciągle uczył, gdyż w miarę jak samoloty stawały się coraz bardziej skomplikowane, szybko rosła ilość nowych urządzeń, od samego silnika i uzbrojenia, aż do różnych pomocniczych i specjalistycznych. Pracę uważał za interesującą, płacę za dobrą – chociaż jako perfekcjonista i pracuś, był przeważnie zajęty do późna. Wprawdzie zapisał się do Państwowej Wyższej Szkoły Budowy Maszyn i Elektrotechniki w Poznaniu, ale nie wiele mógł w niej skorzystać. Również i synowi nie mógł poświęcić wiele czasu, raczej wpoił mu poczucie dyscypliny i starał się trzymać krótko, nie tyle nakazami, co własnym przykładem. Syn ogromnie cenił autorytet i w ogóle uwielbiał ojca, starał się na nim wzorować, ale widywał go, w swoim odczuciu, o wiele za rzadko.

Gdy po przegranej kampanii wrześniowej, sierżant Kogut przedarł się do Polskiego Wojska we Francji, a następnie Anglii, żona z synem pozostawali w swoim domu na Ławicy, właśnie dzięki temu, że był nie wykończony. Co więcej, sami dołożyli następnie starań, żeby nie wyglądał zbyt atrakcyjnie. Ławica była bombardowana, ale ten budynek prawie nie ucierpiał, za wyjątkiem tego, że jakiś pocisk rozbił parę dachówek – jednak po pewnych korektach, przybrał zewnątrz wygląd pół-ruiny. Dzięki temu żaden Niemiec go nie zechciał i tak uniknęli wysiedlenia. W ogródku, zamiast kwiatów, hodowali warzywa, stanowiące cenne uzupełnienie skąpych racji kartkowych żywności. Jednak oczywiście, Arbeitsamt nie pominął Mieczka, jednak ponieważ, przy młodym wieku, był także dość drobny i szczupły (choć w rzeczywistości sprawny fizycznie) i nie robił wrażenia silnego – nie skierowano go do pracy w fabryce, ale w pobliskim gospodarstwie, objętym przez Niemca. W zasadzie, większość chłopaków z Ławicy zatrudniono lokalnie, w tym dużą część u niemieckich osadników, na przykład wyżej wzmiankowany otrzymał duże ogrodnictwo i parę sadów. Praca zapewne lepsza i zdrowsza, niż w fabryce, ale też ciężka, a przy stałym niedożywieniu, nie trudno odgadnąć, że ci przymusowi robotnicy, próbowali zjeść, co się dało. W większości, nie byli to wykształceni młodzieńcy, normalnie, Mieczek nie miałby z nimi kontaktu, ale obecnie przymusowe warunki stworzyły wilcze prawa. Grupki młodych chłopaków dobrały sobie na przywódców najtwardszych, często bezwzględnych, ale najbystrzejszych, najszybciej orientujących się, reszta musiała się podporządkować, a oni z kolei mieli planować w interesie wszystkich. Na początek były to nocne wyprawy po owoce i jarzyny. Pracodawca,

podejrzewał udział swojego pracownika i właściwie, choć domysł nie miał podstaw, ale było pewne prawdopodobieństwo. Mieczek został kilka razy dotkliwie pobity, jednak nie pisnął słowa, choć wiedział coś na ten temat. To, że wytrzymał bardzo podniosło jego pozycję w oczach „szczunów”, którzy przedtem nie znali zbyt dobrze. Teraz liczył się jako swój, podobnie jak Niemiec uznany został za naturalnego wroga, właściwie potwierdziła się dotychczasowa zoologiczna klasyfikacja. Tu trzeba wyjaśnić, że w okresie okupacji, w Wielkopolsce Niemiec mógł dowolnie uderzyć Polaka także bez powodu, a gdyby ten usiłował się bronić, przekazać go niemieckiej policji, oskarżyć dowolnie o nieposłuszeństwo, nawet czynny napad. Albo zmyślić inne oskarżenie, słowo Polaka nie miało żadnego znaczenia wobec słowa Niemca. To kończyło się w najlepszym wypadku znacznie gorszym pobiciem przez fachowców policyjnych, a w gorszych więzieniem, obozem, a mogło nawet karą śmierci. Więc Mieczek musiał to znieść, natomiast Niemiec nie posunął się dalej i to nie dlatego, że nie mając żadnych podstaw do podejrzeń, traktował sprawę jako zabieg wychowawczy na wszelki wypadek. Także dlatego, że swojego robotnika traktował jak część inwentarza, nie tyle jak niewolnika, ale, powiedzmy, zwierzę robocze. Nie był więc zainteresowany w uszczuplaniu swojego dobytku. Ze słów Mieczka wynikało, że ten Niemiec nie był bynajmniej hitlerowcem, lecz po prostu zwyczajnym bydlakiem, chciwym i prymitywnym. To zaś, że jego pracownik chodził przed wojną do gimnazjum, stanowiło w jego pojęciu duży minus i należało mu to przy pierwszej okazji wybić z głowy.

Sytuacja zmieniła się na lepsze, kiedy okazało się, że Mieczek umie naprawić prawie każdą maszynę, a zwłaszcza urządzenia elektryczne. A już specjalnie, kiedy w końcu roku 1943 Kogut zrobił Niemcowi pewne ulepszenia w instalacji elektrycznej, dzięki którym mógł on kraść prąd (najtrudniej zaś było wytłumaczyć mu, że nie może przesadzić, powinien zachować tyle umiarkowania, żeby nie podpaść przy kontroli i odczytywaniu licznika). Kogut z trudem wyperswadował Niemcowi, przedstawiając drakońskie kary, nie tylko za samą kradzież, ale zwłaszcza za szkodnictwo w wysiłku wojennym Rzeszy. Jednocześnie jednak, nareszcie zapewnił sobie spokój. Miał teraz haka na Niemca, a ten też zdawał sobie z tego sprawę, że gdyby ta sprawa się wydała, bez względu na to co spotkałoby Polaka, on sam też ucierpiałby poważnie.

Nawiasem mówiąc, o tym ostatnim zdarzeniu Mieczek opowiedział Angusowi znacznie później, kiedy byli już bliskimi kolegami i przyjaciółmi. Zażartował przy tym, że gdyby nic mu się w życiu nie powiodło, to może w przyszłości napisze i wyda bezimiennie książkę, 99, albo nawet i 199 sposobów przestawiania liczników, na tym zawsze zdoła zrobić majątek.

Jednak i tak, nabrał wody w usta i nigdy nie udzielił żadnych konkretnych rad Angusowi, który naturalnie był ciekawy, ale raczej teoretycznie, nie nalegał. Zresztą i tak ceny energii były początkowo po wojnie na starym poziomie, a zużycie niewielkie, tylko do oświetlenia - instalacja domowa była dostosowana tylko do tego celu i nawet zwykłe włączenie żelazka wymagało ograniczeń. Jedyna informacja, jaką otrzymał, odnosiła się do starego typu liczników, podobno można je było unieruchamiać przez odpowiednie umieszczenie magnezu, ale wada ta stała się znana i obecnie już nieaktualna.

Po maturze Kogut śladem ojca, też wybierał się do Szkoły Inżynierskiej na Wydział Elektryczny, ale ponieważ mając członka rodziny na zachodzie raczej nie mógł liczyć na wojsko (konkretnie lotnictwo) zmienił plany i wybrał prądy silne. Pracował później w eksploatacji sieci, przez pewien czas nawet kierował zespołem kontroli instalacji, ale ponieważ z reguły nie wykrywał przestępstw (to znaczy poprzestawał na prywatnej rozmowie ostrzegawczej, za wyjątkiem dostojników, co do których i tak wiadomo było, że załatwia sprawę jednym telefonem), więc chociaż wyniki eksploatacji wskazywały na to, że kontrole są bardzo skuteczne jako odstraszenie, pozbył się tej funkcji, którą wykonywał niechętnie (mimo, że faktycznie w tym zakresie miał wyjątkowe kwalifikacje i doświadczenie). Potem szybko awansował do dyspozytora sieci. Z ojcem zobaczył się dopiero po 1956 r.

Marian Kozieł, siedzący razem z Kogutem, bezpośrednio przed Angusem, był wysoki i mocno zbudowany, duże i silne chłopisko. Wzrostu dokładnie Angusa, a nawet o parę milimetrów wyższy, nie miał jednak żadnej skłonności do otyłości, czy zaznaczonego brzuszka. Wszyscy odżywiali się wtedy niewystarczająco, także Angus miał zapadłe policzki i raczej wychudzone ciało, ale mimo to brzusek nawet wtedy się zaznaczał, widocznie wytworzone w dzieciństwie komórki tłuszczowe pozostały na całe życie. Kozieł może trochę pozował na „macho”, ale tak też wyglądał, wyprostowany, energiczny, zawsze, nawet w niepogodę z gołą głową - przy mrozach, podnosił tylko kołnierz wyświechtanego i cienkiego płaszczka. Nie miał rodziców i nie był rodzonym poznaniakiem, chociaż pochodził z Wielkopolski, do miasta zapędził go los. Mieszkał blisko centrum, gdzieś przy ul Kwiatowej, gdzie wynajmował pokój z dwoma innymi osobami. Utrzymywał się sam z różnych dorywczych zajęć, najbardziej odpowiadały mu korepetycje, lecz tego nigdy nie było dosyć. To też, odwiedzał wprawdzie mieszkanie Angusa, czasami grywał w szachy, zdecydowanie najlepiej – a czasem w ping-ponga – ale częściej miał inne zajęcia i śpieszył się. W klasie miał zdecydowanie opinię najlepszego matematyka i tą opinię podzielała również Pani Prof.

Zawieyska i to mimo wyraźnych braków, które potrafił jednak zawsze nadrobić logicznym rozumowaniem. Nawet nie znając czegoś, zawsze sobie poradził, czasem było to odkrywanie Ameryki od nowa. Z drugiej strony, ten dar samodzielnego rozumowania posiadał naprawdę i być może, był z tego powodu trochę zarozumiały. A może, doceniał swoje zdolności i miał uzasadnioną wiarę w siebie. W każdym razie, utrzymywał pierwsze miejsce w bardzo ostrej konkurencji, bo w klasie prymusem był Leszek Starr, najstarszy mężczyzna, podobno oficer AK, który matematykę wybrał jako zawód, decydując się na karierę akademicką – siedział w pierwszej ławce z niewielkim synem przedwojennego prezydenta Miasta, Więckiem. Obaj trzymali się osobno i całkowicie skupili na nauce, być może musieli, z powodu przeszłości. Angus też się liczył, chociaż na razie miał wysoką opinię tylko u kolegów, wyprzedzał wszystkich w obliczeniach i zwykle robił to w pamięci, pisząc od razu końcowy wynik. Ale to zostało dostrzeżone przez ciało pedagogiczne dopiero później, a i to z pewnym niedowierzaniem. Po pierwszym przypadkowym wykazaniu się, kiedy nie zgodził się z jednogłośnie wynikiem całej klasy i udowodnił swoją rację, sprawdzano go jeszcze kilka razy.

Po maturze, Marian nie studiował w Poznaniu, ale przeniósł się na Politechnikę do Wrocławia, gdzie łatwiej było o mieszkanie i o pracę. Wyjaśnił, że praktycznie nie ma nic oprócz pary starych portek i musi jak najszybciej usamodzielnąć się. Bardzo trudno było coś z niego wydusić, nie lubił mówić o sobie, a już zdecydowanie o przeszłości, tylko przyszłości był pewny, tego, że potrafi dać sobie radę w każdych warunkach. Kogut wyraźnie uprzedził Angusa, że nie ma co próbować dowiedzieć się czegokolwiek od Koziela, ponieważ miał wyjątkowo trudne przeżycia i chce je zapomnieć. Angus słyszał pogłoski, że ojciec Mariana został rozstrzelany w październiku 1939 razem z grupą zakładników w południowej Wielkopolsce, mniej więcej w podobnych warunkach, jak relacjonowana w 3 rozdziale książki „Przecież to jeszcze szczeniak” egzekucja w Środzie. Jednak w tym wypadku, żona nie zorientowała się tak szybko i nie wykupiła męża, a może taka możliwość na tamtym terenie nie istniała. W każdym razie, ani rodzina, ani sam Kozłowiecki ojciec absolutnie nie wierzyli w możliwość rozstrzelania bez żadnego powodu, byli przekonani, że chodzi o zwykłe zastraszanie i po pewnym czasie zakładnicy zostaną wypuszczeni. Gdy okazało się, że cała grupa doprowadzona została na miejsce egzekucji i nie ma dla nich ratunku, mimo, że ani oni nic nie zrobili, ani też nie zdarzył się żaden wypadek oporu wobec okupantów, nie mówiąc już o jakimś zbrojnym ataku, że egzekucja stanowi ostrzeżenie przed hipotetyczną możliwością

przeciwstawiania się ludności okupantom, ojciec Mariana podobno doznał szoku. Na krótko, bo zaraz padła salwa. Matka i sam Marian zostali wysiedleni w 1940 r, ale w obozie zachorowali na tyfus. Ponieważ był to choroba, której epidemicznego rozszerzenia Niemcy bardzo się obawiali po doświadczeniach poprzedniej wojny, przewieziono ich do szpitala zakaźnego. Matka umarła, Marian jakoś nie, ostatecznie wypisano go ze szpitala, ale nie wysłano z powrotem do obozu, nakaz wystawiony był na matkę. Udał się do jakiejś dalszej rodziny, ale tam nie wiele udzielono mu pomocy, być może z braku możliwości. Przeżył, pracując z nakazu Arbeitsamtu u jakiegoś niemieckiego rzemieślnika, który okazał się wyjątkowo porządnym człowiekiem, a przy okazji poduczył się fachu mechanika precyzyjnego i to była druga umiejętność, która pozwalała mu obecnie przeżyć. Wszystko to, to tylko niesprawdzone pogłoski, gdyż Kozieł konsekwentnie milczał. Nie wiadomo, czy polegają one na prawdzie. Również w tym wypadku, relata referro.

W międzyczasie skończyła się wojna. Angus zaledwie to zauważył, lub raczej zlekceważył. Kiedy dojeżdżał do Poznania, Gen Krebs już podpisywał kapitulację garnizonu berlińskiego. A co najmniej od miesiąca, opór niemiecki i tak się załamywał. To było oczywiste dla najgłupszego Gefreitra, z wyjątkiem tego jednego szaleńca, którego wszyscy nadal wszyscy słuchali. Hitler w ostatnich dniach życia, świadomie dążył do całkowitego zniszczenia Niemiec. Skoro i tak nie zdołał zwyciężyć, przynajmniej chciał zorganizować niezapomnianą tragedię, prawdziwy Zmierzch Bogów. Wprost trudno uwierzyć, że do ostatka zdołał wymóc posłuch, skoro dla każdego Niemca musiało być jasne, że wódz prowadzi ich już tylko do zbiorowego samobójstwa. Na zachodzie, te polecenia zostały częściowo nie wykonywane, dzięki Speerowi, ale tej ostatniej tragedii, szturmie Berlina, nie udało się zapobiec. Niewyobrażalna masakra cywilnej ludności, zupełnie bez celu. I znowu, Hitler w organizacji tego największego ze swoich ulubionych widowisk z fajerwerkami, znalazł niezawodnego partnera, Stalina. Różnie układała się ich współpraca, czasem w pozorach przyjaźni, a czasem pokazowej wrogości, ale trwała. Zawsze mogli na siebie liczyć, także teraz. Najwyraźniej, Niemcy mają jakąś, niepowtarzalną wśród narodów, specyficzną psychikę. Owszem, Polacy też wykazują czasem tendencję do zbiorowego samobójstwa, lecz z własnej woli i nie z powodu dyscypliny, zgoła przeciwnie, raczej wbrew rozkazom, rodzaj amoku, zbiorowej hysterii. Często wręcz zarzucają swoim dowódcom zdradę i giną w imię jedynej słusznej racji, która tylko sami znają i rozumieją.

Właściwie wojna zakończyła się dokładnie w dniu, kiedy Angus zaczął naukę w nowej szkole. Ale tego nie podano do wiadomości, lecz

drugiego dnia, dopiero kiedy przedstawienie kapitulacji powtórzono osobiście przed Żukowem (choć dnia poprzedniego, też w podpisywaniu uczestniczył przedstawiciel Armii Czerwonej przy dowództwie aliantów). W przyszłości, w ZSRR i krajach podległych, koniec wojny ustalono na dzień później niż na zachodzie. 9 maja obchodzono święto zwycięstwa i żadnej innej daty nie wolno było nawet wymieniać.

W szkole nie było warunków do pomieszczenia wszystkich, zrobiono po prostu nieco krótsze lekcje i krótkie pogadanki w klasach, wysłuchując także okolicznościowych słów dyrektora przez głośniki wraz z informacją, że ogólne zgromadzenie ludności (wiec), odbędzie się później na Placu Wolności. To ostatnie Angus naturalnie zignorował. Zresztą większość Poznaniaków też nie przejawiała zainteresowania. Z jednej strony, wojna z Niemcami już była skończona, z drugiej, wojnę czuło się nadal, jak długo trwała okupacja. Można jedynie było mieć nadzieję, że kiedyś, po zawarciu pokoju, obce wojska zostaną wycofane i wreszcie okupacja musi się skończyć. Wtedy, w normalnych warunkach, możliwe będą wybory. Zapewne konieczne staną się ustępstwa wobec ZSRR, sprawa granic była prawdopodobnie przegrana, ale może uda się doprowadzić do negocjacji, wytargować przynajmniej okręgi ze zdecydowaną większością polską i jakieś możliwe warunki dla pozostałych za granicą Polaków.

W każdym razie, była okazja do rozmów w klasie i to całkiem otwartych. Bez długich wstępów i kluczenia, sprawa była jasna: podobnie jak we wszystkich grupach, z jakimi Angus miał okazje się zetknąć, istniał pełny koncensus, wszyscy uznawali Rząd Emigracyjny. Nikt nie traktował na serio utworzonego przez ZSRR tworu marionetkowego, znaczna większość mówiła o zdrajcach, których tylko ucieczka w przyszłości może uchronić od kary.

Natomiast w gronie już żywej czwórki, dyskutowano jeszcze dalej. Pełna zgodność, że ZSRR nie wycofa się dobrowolnie, przeciwnie, będzie dążyło do uzyskania przewagi i ostatecznie do opanowania świata. Przecież to jedna z sił, które rozpętały wojnę w tym właśnie celu i konflikt z Hitlerem wynikł tylko dlatego, że żaden z agresorów nie chciał się dzielić zdobyczami, chciał wszystkiego tylko dla siebie. Państwa demokratyczne chyba się czegoś nauczyły, wiedzą, czego się spodziewać i tym razem nie pozwolą się zaskoczyć, więc zderzenie jest nieuchronne. W tej chwili, niewątpliwie obie strony zapewne już starają się zająć dogodne pozycje wyjściowe. Oczywiście, Polska jest nadal związana

sojuszem z demokracjami zachodnimi, a zresztą to leży także nadal w naszym interesie. Nie ma się co łudzić, Rosja nigdy nie wycofa się dobrowolnie. Czyli, wojna się jeszcze nie skończyła, to tylko chwilowa przerwa, jeden totalitaryzm upadł, ale drugi wciąż pozostaje. Wciąż aktualne są słowa: „O wojnę powszechną za wolność Narodów, prosimy Cię Panie”. Każdy z tych młodych ludzi, chociaż już ciężko doświadczonych i świadomych możliwych konsekwencji, zdecydowany był na osobisty wkład i ryzyko.

Jednak, zawziętą dyskusję wywołała kwestia niemiecka. Na terenie Wielkopolski, szczególnie ciężko doświadczonej już nie okupacją, ale pełnym połknięciem przez III Rzeszę i której ludność podlegała nie tylko eksterminacji (najwcześniej, od pierwszych chwil), ale również upokarzającemu traktowaniu i stałemu prześladowaniu nawet w drobnych szczegółach najprostszycy funkcji życiowych, odraza i nawet nienawiść do Niemców były silnie wpojone i wciąż świeże. To też Angus wywołał prawdziwą burzę, kiedy stwierdził, że trzeba zapomnieć o przeszłości i nie można traktować wszystkich Niemców za winnych. To tacy sami ludzie jak Polacy, też składają się z jednostek dobrych i złych i tylko mieli pecha, że właśnie ci źli przejęli tam władzę. Owszem, zbrodniarzy trzeba szukać i karać, jak w każdym innym społeczeństwie i zapewne sami Niemcy, po obaleniu zwyrodniałego systemu, się do tego przyłączą. Prawdopodobnie nawet, kierując się dumą narodową, będą chcieli sami te sprawy załatwić jako swoje wewnętrzne. Choć z drugiej strony trudno wymagać od bezpośrednich ofiar wstrzymywania się od udziału. Ale od tej chwili, powinniśmy przestać kierować się emocjami i wykreślić z pamięci obraz Niemców jako wrogów, a traktować ich jako przyszłych sprzymierzeńców. Ściślej, jako ludzi którzy pierwsi ucierpieli od nieludzkiego ustroju, poznali jego niesprawiedliwość od środka. Teraz, po przemianie, pomogą także tym, którzy nadal w podobnym w swojej istocie, a tylko inaczej pomalowanym ustroju, żyją nadal. –

Ta wypowiedź stanowiła szok i zaskoczenie. Najszybciej zareagował Świągaj: Jestem przede wszystkim chrześcijaninem i wiecie, że uznaję stosowanie zasad w życiu. Ale w tym wypadku, nie mam zamiaru nadstawiać drugiego policzka. Nie ma tutaj, ani w ogóle nie spotkałem nikogo, kto chciałby pożreć Niemców na surowo, albo wszystkich wymordować. Ale to, co mówisz, to już przesada. I jednocześnie, to nie przypadek, ale nasz największy i stały błąd. Jeżeli spojrzysz na historię, to zobaczysz, że ile razy Niemcy dysponowali przewagą, prowadzili agresję. Najeżdżali i zajmowali nasze ziemie, mordowali ludność, albo zamieniali w niewolników. Natomiast ile razy my zyskiwaliśmy przewagę, to zapominaliśmy o wszystkim i szukali

pojednania; gorzej, przyjmowali założenie, że Niemcy już się ucywilizowali i w przyszłości będą zachowywać przyzwoicie. I tak do następnego razu i znowu wszystko się powtarza, a my płacimy za to utratą kolejnych części Polski. Zauważ, że kiedy Polska była silna a Niemcy osłabione, na przykład podzielone zajęte walkami wewnętrznymi, ani razu nie próbowaliśmy odebrać, nawet ostatnich strat. Zadawałało nas, że mamy nareszcie z tej strony spokój. Co najwyżej, otwieraliśmy szeroko granice i przyjmowali uciekinierów, chociaż trzeba przyznać, że ci zwykle zachowywali się lojalnie i często się asymilowali. Ale ostatnio doszliśmy do granic możliwości, do samego skrajnego zagłady, gdyby teraz Niemcy wygrali, to już nie byłaby sprawa strat terytorialnych ani podporządkowania. Żaden Polak by nie przeżył. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że Hitler postąpiłby z Polakami dokładnie tak, jak z Żydami, byliśmy następni w kolejce, a właściwie z początku pierwsi, tylko Niemcom szczęśliwie nie starczyło sił i przełożyli nas na później. Niemcy powinni nareszcie odczuć, że agresja się nie opłaca.

To jedno, a druga bardzo ważna okoliczność – Hitler przecież nie przyszedł i siłą zmusił Niemców do zbrodni, przemocą zrobił z nich albo ofiary, albo potworów. Oni go wybrali, powierzyli władzę w wyniku demokratycznych procedur, a Hitler po prostu już tej władzy nie oddał i dyktatorem stał się potem. Owszem to był mistrz manipulacji i nie odstępował swoich planów z góry, ale hasła przemocy i rewanżu głosił od początku. Co przynajmniej część Niemców musiała być tego w pełni świadoma, a jednak popierała go. Być może, nie zdając sobie sprawy z ostatecznych konsekwencji. Przecież nawet Żydzi, gdy w 1939 przepowiadał w stylu proroka, że nie przeżyją nowej wojny, nie traktowali tego dosłownie, ani my, gdy stwierdził, że skoro Polacy nie zmienią się „póki żyją”, trzeba z tego wyciągnąć właściwy wniosek.

Dlatego uważam, że Niemcy powinni przynajmniej poznać smak własnego lekarstwa. Należy zastosować wobec nich te same metody, które oni wprowadzili i zastosowali dla innych, oczywiście za wyjątkiem krańcowych okrucieństw. Inaczej najpierw postarają się zapomnieć, potem w ogóle będą zaprzeczać, że coś złego zrobili, a w końcu historia powtórzy się od początku. Ja osobiście uważam, że dopiero z przyszłym pokoleniem można będzie się dogadać i traktować jako partnera.

Kogut całkowicie zgodził się z Świgajem, jednak uważał jego argumenty za zbyt słabo wyrażone, sam określił to znacznie dobitniej, a słowa Angusa określił wręcz jako prowokacyjne. Niespodziewanie, zdanie Angusa poparł Koziół, chociaż on właśnie najbardziej ucierpiał, miał podstawy winić okupantów za śmierć obojga rodziców, nie mówiąc o własnym losie. Uzasadnił to czysto pragmatycznie:

Jeżeli na serio uważamy, że w najbliższej przyszłości dojdzie do konfliktu między dyktaturami i demokracjami, to z Niemcami trzeba będzie się pogodzić, współpracować i więcej, starać się ich pozyskać. Przecież przez cały rok 1939 i 1940, blok Niemiec i Sowietów był właściwie nie do pokonania. Razem stanowią dla wolnego świata śmiertelne niebezpieczeństwo. Także i teraz, Stalin nie będzie miał żadnych zahamowań, nawet najbardziej winnym i najgorszym nazistom każe po prostu zmasakrować swoje winy wierną służbą nowemu wodzowi. Najwięksi zbrodniarze będą traktowani jako cenni fachowcy, jeżeli zgodzą się popełniać nowe zbrodnie dla nowego Pana. A czy zechcą? Przecież znajdą możliwość nie tylko przeżycia i ocalenia, ale i wygodną niszę ekologiczną. Już teraz, donosiciele i współpracownicy gestapo znajdują często azyl, służbę i ochronę w Urzędzie Bezpieczeństwa. Dla tych kreatur, ZSRR było wprawdzie przeciwnikiem, ale ustrój i zasady działania bardzo podobne, z pełnym zrozumieniem się przystosują. Znowu świat może stanąć wobec strasznego bloku, ZSRR z Niemcami, tylko teraz głowa znajdzie się z drugiego końca, a za to większa jednolitość w zarządzaniu. Alianci też pewnie to rozumieją, i dlatego, mając więcej do zafiarowania w sensie materialnym, zaczną po trochu Niemcom odpuszczać. Muszą, bo popatrzcie, jak wygląda sytuacja: w Europie, na Francję nie ma co liczyć, sytuacja jest gorsza, niż w 1939r. Wtedy, komuniści tylko biernie poparli Hitlera, szeptaną propagandą przeciw wojnie. Hitlera uznali za całkiem przyzwoitego faceta, przecież przyjaźnił się ze samym Stalinem i chciał pokoju, to Polacy zawinili, nie będziemy umierać za Gdańsk. Teraz, de Gaulle ledwie się trzyma, w razie czego, Francji grozi wojna domowa, wygląda, że komuniści mogą uzyskać przewagę. We Włoszech, podobna sytuacja, tyle że tam komuniści rzeczywiście położyli zasługi w upadku faszystów, a dzięki temu cieszą się dobrą opinią i stanowią najsilniejszą partię. Gdyby jeszcze Niemcy znaleźli się w obozie Stalina, to Anglia wkrótce znowu musiała by przygotowywać się do odparcia inwazji, bo Alianci w Europie się nie utrzymają. My ich przecież nie obronimy. Tym razem nawet czasowo nie zdołamy powstrzymać wroga, jak w 1939 r. Niestety, ale trzeba to sobie wyraźnie powiedzieć, jesteśmy na dalekim marginesie, w tej rozgrywce się nie liczymy. Z konieczności musimy się zgodzić na odrodzenie Niemiec, a nawet więcej, że wszystkich sił w tym pomagać

Ta dyskusja trwała jeszcze długo i ostatecznie nie uzgodniono jednolitego stanowiska. Właściwie częściowo, wszyscy postanowili, regularnie spotykać się i dalej rozmawiać, nie tylko na ten temat. Angus wspomniał, że w Ostrowcu wychodziło takie piśmiennictwo młodzieżowe, nazywało się „O lepszą przyszłość”. Świągaj odniósł się ze zrozumieniem,

on zawsze czuł się humanistą i miał to zacięcie, tylko nie widział możliwości technicznych realizacji. To był dobry początek, oczyma duszy Angus już widział przyszła filię tajnej organizacji. Ta grupka mogła być przyszłym jej jądrem.

\* \* \*

W sobotę 12 maja, niespodziewanie odwiedził Angusa starszy kuzyn z Chomęcic, Mieczek. Angus czuł się mocno skrępowany, dosłownie nie miał czym poczęstować gościa, w domu miał tylko chleb i resztkę mleka pozostawionego na kwaśne. Zarówno ten tydzień, jak i szereg następnych żył na dość jednostajnej diecie: chleb z mlekiem, albo chleb, albo mleko, ewentualnie z chlebem. Okazyjnie do tego sałata, surowa lub parzona, oraz specjalność ojca, galareta z główizny z dodatkiem octu i soli. Wkrótce, to się trochę przejadło i na przemian, albo jadał raczej niechętnie, albo miewał nagłe ataki głodu i wtedy, wyjadał wszystkie resztki – ale to nie było to, czego domagał się organizm i w rezultacie pozostawał nie zaspokojony. Z drugiej strony, skoro ojciec też na tym poprzestawał, po prostu nie wypadało się na ten temat rozwodzić. Na świecie działy się znacznie ważniejsze rzeczy, niż dotyczące jego brzucha. Bywało jeszcze gorzej i jakoś przeżył (choć latem 1942 z dietą złożoną wyłącznie z ziemniaków i pomidorów, jakoś łatwiej było wytrzymać; zaś w partyzantce, cóż, jakieś jedzenie przeważnie się znajdowało, choć nie zawsze regularnie). Jednak Mieczek nie chciał mleka, poprosił tylko o herbatę, gdyż dojeżdżając do liceum codziennie, zaopatrzone był z domu w solidną wałówkę. Teraz też miał jeszcze kanapki i trzeba przyznać, że były one o dwa albo trzy poziomy lepsze, niż można sobie w tych warunkach wyobrazić. Choć oczywiście nie aż takie, jak pamiętny niedzielny obiad, na wspomnienie którego aż człowieka skręcało. Wysiłkiem woli, Angus opanował łakomstwo, tylko skosztował i pochwalił. Mieczek wpadł na krótko, miał konkretną propozycję i to bardzo na czasie. Zapytał, czy Angusa interesuje możliwość zarobienia paru złotych.

- Owszem, interesuje. A o co chodzi? –

- Jeżeli tak, to bądź w poniedziałek rano, tak o wpół do szóstej na zbiegu Bukowskiej i Grunwaldzkiej od strony ZOO. Przejdziemy się za Poznań, do Chłudowa, a właściwie pociągniemy wózek, konkretnie do tego majątku, gdzie mieszkaliśmy w czasie wojny. Mam zamiar tam coś kupić, wykorzystując dawne znajomości, przywieźć do Poznania i tu sprzedać. Wózek też załatwię, teraz pytanie, ile możemy zgromadzić pieniędzy. Powinniśmy zarobić drugie tyle, ile będziemy mogli wyłożyć. –

To wyglądało na fantastyczną spekulację finansową, ale takie operacje bywają ryzykowne, można się dorobić, albo wszystko stracić, więc Angus usiłował dowiedzieć się coś więcej.

- Powiedz dokładniej, jaki masz plan?

- Nie ma sensu opowiadać szczegółów, sam zobaczysz, jeżeli zdecydujesz się w to wejść. –

Angus ocenił możliwości. W poniedziałek, miał czas do południa. Czuł się też na siłach przejść ok. 20 km w jedną i tyleż w drugą stronę, niezbyt forsowny marsz i bez obciążenia – to drobnostka. Wózek, trudno powiedzieć, ale to na pewno łatwiejsze, niż noszenie ciężaru na grzbiecie. Wreszcie, miał przecież jeszcze nie wydane pieniądze które dostał od matki na drogę, ojciec nie chciał ich wziąć, a na bieżące wydatki domowe dał mu jeszcze 100 zł do rozliczenia.

- Dobrze, mam wolne całe dopołudnie, a taka przechadzka to dla mnie pestka, nieraz dałem radę i więcej. A co do pieniędzy, to mogę zmobilizować do 400 zł. –

- Ja będę miał ze dwieście, jeszcze daję inicjatywę i załatwiam wózek, łupem dzielimy się pół na pół. Gwarantuję, że na pewno nie stracisz, a spodziewam się dwukrotnego przebicia, ale to zobaczymy. Natomiast nie gadaj o tym, dobrze? –

- I tak nie jestem gadatliwy, dobrze, że powiedziałaś, wszystko jasne. –

Zresztą, tej niedzieli i tak nie pojechali do Chomęcic. Ojciec pracował, natomiast Angus usiłował zwalczać plagę domową. Mimo wysiłków, większego sukcesu nie osiągnął.

Następnego dnia, spotkali się o kilka minut przed czasem w umówionym miejscu. Mieczek przyciągnął pomniejszoną wersję wozu drabiniastego, coś pośredniego między zabawką dziecinną a chłopską furmanką, nazywaną przez Niemców Panje-wagen. Jedyna różnica, to rozmiar, odpowiednio mniejszy dyszel, zakończony był przybita na krzyż poprzeczka, stanowiąca uchwyt do rąk. Z początku chwycili razem, każdy za jedną stronę uchwytu, ale okazało się to niepotrzebne, wystarczy jeden, na zmianę. Pusty wózek jechał lekko, turkocząc po wyłożonej klinkerową cegłą ulicy, też całkiem pustej. Ulica Bukowska stanowiła jedną z tzw. dróg fortecznych, przystosowanych do metalowych kół armatnich z przed I Wojny Światowej, które rujnowały każdą ulicę. Nawet kamienny bruk pękał pod takim ciężarem, tylko specjalny klinker wytrzymywał nacisk. Za fortami, gdzieś na wysokości lotniska, droga zmieniała się na zwykłą szosę szutrową z lekkim dywanikiem asfaltowym na środku, ale wciąż szli szybko, wyciągniętym krokiem. Angus miał wprawę w forsownych marszach, a Mieczek, ogólnie silniejszy i bardzo sprawny fizycznie, nie ustępował mu kroku, tak, że w dwie godziny

dotarli do Lusówka. Jeżeli to nie rekord trasy z wózkiem, to w każdym razie nikt nie chciał im wierzyć, gdy to po latach wspomnieli.

Na miejsce dotarli koło ósmej. Mieczek wziął kasę, wózek i polecił Angusowi poczekać, sam lepiej wszystko załatwi. Angus usiadł z przyjemnością, żałował tylko, że nie wziął butelki z wodą. Na szczęście nie było gorąco, kiedy wreszcie wrócił Mieczek, powitał go nie tylko wychłodzony, ale nawet zeszywniały. Wózek był mocno wyładowany.

- Co to jest, na miłość Boską? -

- Kwiatów nie widziałeś? -



Rzeczywiście kwiaty, tulipany, dwadzieścia snopów, zajmowały tyle miejsca, co pięć dużych worków ziemniaków, ale na szczęście ważyły dużo mniej. Mieczek przez cały czas nie wspominał, po co właściwie się dopytywać. Ale prędzej spodziewał by się cudu z nieba, no, powiedzmy rzutu z alianckiego samolotu, niż kwiatów i to jeszcze takich. Nic dziwnego, że nie od razu się zorientował. Nie widział jeszcze ani takich wielkich snopów, ani tak ogromnych tulipanów. Wszystkie jeszcze zamknięte, ale chociaż Angus miał spore pięści, te pąki były większe, niektóre prawie jak dwie pięści. Szosa nadal była przeważnie pusta. Spotkali kilka wozów, ale nieliczne samochodów dopiero w pobliżu miasta. Natomiast wózek zrobił się wyraźnie cięższy, teraz ciągnęli go obaj idąc koło siebie i tylko co jakiś czas zmieniali ręce.

- Wyjaśnij mi przynajmniej, co masz zamiar z tymi tulipanami zrobić? -

- Po prostu sprzedamy je, w Poznaniu. -

- Masz konkretnego odbiorcę? -

- Wielu. Mam zamiar stanąć na rynku i sprzedawać kwiaty osobiście, to znaczy razem z tobą. W najgorszym razie dostaniemy cenę gazetową, po

50 groszy, a na początek spróbujemy po złotówce. Prawie wcale nie widzi się kwiatów, ludzie to kupią, teraz, po wojnie, każdy zechce przynieść kwiat do domu, choćby miało zabraknąć na jedzenie. Do tego ładny dzień, wszędzie budzi się nadzieja. Postanowiłem zaryzykować. Nie chciałem Ci długo tłumaczyć, bo kto wie, czy nie uznałbyś mnie za wariata. A tak, nie mamy wyjścia, jak tylko próbować szczęścia. –

Rzeczywiście, Angus czuł pewne wątpliwości, kto wie, czy by się zdecydował. Ale teraz klamka zapadła. Ostatecznie zaryzykował tylko trochę fatygi i kasę, a coś chyba odzyska. Swoją drogą, jeżeli nie sprzedadzą, co sobie pomyślą pluskwy w domu na tyle kwiatów? A oprócz tego ciekaw był, skąd wzięły się takie kwiaty.

- To długa historia. Jak wiesz, część okupacji spędziliśmy pracując w Lusówku, w dawnym majątku generała Dowbór-Muśnickiego. Otóż generał nie tylko prowadził wzorowe gospodarstwo, ale także dużą hodowlę kwiatów, które eksportował do Holandii, głównie cebulki na rozsadę. Kilkanaście km w bok od szosy znajduje się Rybojedzko, (majątek stanowił własność rodziny królewskiej z Holandii) z hodowlą kwiatów, piach nawadniany sztuczną deszczownią z jeziora Strykowskiego (działała jeszcze w latach siedemdziesiątych, choć kwiaty wtedy nie rosły, tylko zboże). Od tego się wszystko zaczęło. Ale stary generał ich mocno przeskoczył i rozwinął sprawę na wielką skalę. Może i warunki do uprawy miał lepsze, ale przede wszystkim, oko pańskie konia tuczy, a królowa ani nikt z rodziny nie angażowali się osobiście. A poza tym, sprawa była traktowana po cichu, tak, żeby współpracujący za granicą hodowcy mogli co jakiś czas wyjść niespodzianie na rynek z nową odmianą, uzyskanym w dalekim kraju, o czym konkurencja nie wiedziała. Taka tajna baza czy laboratorium, chociaż prace badawcze prowadzono w samej Holandii, a tu tylko namnażano nowe odmiany. To z pewnością nie mogło długo trwać, w końcu wszystko by się wydało i szefowie businessu poszukaliby innego miejsca, ale na razie tulipany stały się dochodową gałęzią produkcji. –

- W czasie okupacji, hodowlę kwiatów bardzo ograniczono na korzyść żywności, a resztki dawnej świetności wędrowały na stoły dostojników partyjnych i ważnych osób. W ten sposób, niemiecki Treuhaender dbał o dobre stosunki i znajomości. Bezpośrednich dochodów tulipany nie przenosiły, wręcz przeciwnie, koszty uprawy ukrywano, przenosząc i księgując w innych działach, a ograniczoną uprawę utrzymano. Treuhaender zastrzegł sobie osobiście wszelkie decyzje, podobno oprócz doraźnych forów towarzyskich, ostrzył sobie zęby na cały majątek i miał plany na przyszłość. Ale to minęło, a obecnie kwiaty nic nie przynoszą i

niczego się nie sprzedaje, więc byli szczęśliwi, że w ogóle znalazł się jakiś klient, za parę dni kwiaty by się zmarnowały.

Ciekawa historia, kiedy Mieczek zaczął opowiadać o sensacyjnej przeszłości, z przełomu XVI i XVII wieku, kiedy na największym rynku współczesnej Europy wybuchł jakby zbiorowy obłęd i gorączka na punkcie tulipanów. Za rzadkie odmiany płacono krocie, wielokrotną wagę cebulki w złocie, a czasem nawet w drogich kamieniach, Angus uzupełnił wiele szczegółów. Ta historia przedstawiona była w I tomie kapitału Marksa. Tej książki nie mógł Angus strawić i właściwie uważał czytanie jej za stratę czasu, gdyż strona matematyczna była naciągana i dlatego przedstawiona teoria ekonomiczna nic nie warta. Marks najwyraźniej nie umiał sobie dać rady, a śpieszył się i w desperacji, popełnił błędy nawet w najprostszych wzorach, a potem ratował się wieloznacznymi oznaczeniami pojęć. Ale jednak, jak przekonał Angusa Niedzielski, to był bystry człowiek, co jakiś czas trafiały mu się błyski inteligencji. Opis boomu i potem kryzysu tulipanowego był tego przykładem. Gdyby rozwinął ten temat, mógłby dojść do wniosków znacznie ważniejszych od mętnych wywodów ekonomicznych i dorabianej do bieżących potrzeb formuły wartości i fałszywych wzorów, matematyki do której nie był przygotowany. Idąc dalej tym tropem, można było pojąć rzeczywiste mechanizmy historii i rozwoju ludzkości. Ale autor, powiedział A, lecz nigdy nie doszedł do B, był tak zaślepiiony mętną teorią, którą chciał za wszelką cenę uzasadnić, że pominął wszelkie najbardziej oczywiste wnioski, jak koń z kłapkami na oczy. Także Angus na razie nie umiał się w tym połapać. Błysk światła oślepił go dopiero o wiele później, przy rozważaniu historii Rzymu.

Tak rozmawiając, znaleźli się w Poznaniu prawie nie wiedząc kiedy i dopiero na wysokości gimnazjum, Mieczek skręcił nagle w lewo, koło posterunku wojskowego strzegącego Komendy RKU. Dwaj żołnierze z pepeszami nie pozwalali nawet przechodzić chodnikiem i na wózek jadący jezdnią też patrzeli jakby podejrzliwie, ale na tym się skończyło. Mieczek wybrał drogę ul. Kraszewskiego i skręcił na Rynek Jeżycki. Angus doszedł potem do wniosku, że to chyba zadecydowało o powodzeniu, gdyby poszli na Rynek Łazarski, który dla niego był jakby najbardziej naturalny, pewnie nie wiele by osiągnęli. To był biedniejszy i tańszy rynek, tam ludzie raczej zaspakajali podstawowe potrzeby. Tutaj natomiast, obawy Angusa trwały jeszcze tylko kilkanaście minut, wkrótce pierwszych kilka osób kupiło po jednym kwiecie, potem ustawiło się kilkanaście, a im więcej odchodziło z kwiatami, tym więcej się gromadziło nowych klientów, kupujących nawet po kilka tulipanów. Gdzieś w połowie, zdecydowali się podnieść cenę do zawrotnej wysokości 2 zł, a

więc jeden kwiat odpowiadał bochenkowi zwykłego chleba, ale nawet to nikogo nie zniechęciło, w niecałe dwie godziny sprzedali wszystko, z wyjątkiem kilkudziesięciu zupełnie nierozwiniętych, zielonych zadatków na pęki, które jeszcze nie przypominały jeszcze kwiatów. Tych sprzedać się nie dało i pojechały one na wózku na ul. Śniadeckich. Mieczek nie miał dla nich zastosowania i zdecydował je wyrzucić, chociaż powiedział, że za parę dni i one powinny się rozwinąć. Wobec tego, Angus zdecydował się je wziąć w rozliczeniu, po ulgowej cenie. To rozliczenie okazało się rewelacyjne, podzielili łup po połowie i wraz z kapitałem zakładowym, Angus dysponował teraz zawrotną gotówką ok. 1700 zł, niewątpliwie najlepszy business jego życia. Nie licząc remanentu, który ewentualnie miał się rozwinąć w przyszłości, a odnośnie którego Angusowi przyszła zwariowana myśl do głowy. Potem szybko się pożegnali, Mieczek musiał jak najszybciej oddać wózek, natomiast Angus napuścił do wanny zimnej wody i wrzucił do niej wszystkie rośliny, po czym też popędził do szkoły. Stracił tylko jedną lekcję.

Po powrocie, zawinął każdy pęk jeszcze mokry w gazetę i włożył wszystkie do tekturowego pudła, które zniósł do ciemnej piwnicy. Po przyjeździe ojca, próbował z nim się rozliczyć – daremnie.

- Jesteś u mnie i teraz znowu do mnie należy twoje utrzymanie, przynajmniej w takim zakresie, jaki mogę zapewnić. Co zarobisz, to twoja prywatna sprawa, która mnie nie interesuje, nawet gdybyś został milionerem. Stan obecny i tak jest przejściowy i wkrótce się ureguluje, do tego czasu jakoś przeżyjemy, a na razie nie psuj mi satysfakcji, znowu pracuję i jestem potrzebny, wykonuję niezłą robotę i w znakomitym zespole. Z głodu nie umieram i jakoś sobie radzę. A z resztą, nawet gdybym miał więcej pieniędzy, to i tak nie miał bym czasu ich wydawać. Więc to wszystko może poczekać, dwa awanse w parę miesięcy, kiedy zaczną płacić, nic mi nie przepadnie. -

Angus nie był przekonany, przecież dzisiaj przypadkiem zarobił więcej, niż ojciec przez trzy miesiące. Ale ocenił, że nic nie da się zrobić, więc ostrożnie naprowadził rozmowę na Ostrowiec. Właściwie, powinien tam pojechać, przywieźć swoje dokumenty z tamtejszego liceum, przy okazji dowiedzieć się, jak tam miewa się matka (o możliwości zasilenia jej, wolał teraz nie wspominać) i przy okazji dowiedzieć się, czy nadal go szukają.

- Jeżeli uważasz, że powinieneś jechać, to jedź. Zauważyłeś chyba, że mimo tego, że nie skończyłeś jeszcze 17 lat, uważam cię za w pełni odpowiedzialnego człowieka, który doszedł już do używania rozumu. Niczego ci nie narzucam i mam nadzieję, że potrafisz zachować się ostrożnie. Ale weź pod uwagę, że będę się tu o ciebie niepokoił. -

Rzeczywiście, od powrotu z krótkiego epizodu partyzanckiego, stosunek rodziców do Angusa diametralnie się zmienił. Zwłaszcza ojca, bo matka, wprawdzie powtarzała wielokrotnie „rób jak uważasz, ale uważaj, co robisz”, ale faktycznie nadal automatycznie wtrącała się do wszystkiego, co jej syn robił. Natomiast ojciec, rzeczywiście zaczął traktować go, z początku wydawało się, na dystans, ale potem doszedł do wniosku, że jak w pełni samodzielnego człowieka i przy tym przyjacielsko. Od czasu do czasu dzielił się dobrymi radami, z własnego doświadczenia, ale niczego nie narzucając. Te rady na ogół nie trafiały, a z perspektywy lat okazało się, że jednak w większości były trafne i udzielane raczej zbyt delikatnie.

Tak więc we wtorek 15 maja, zaledwie dziesięć dni od ucieczki z Ostrowca, Angus jechał w odwrotną stronę. Tego dnia ponownie przygotował kąpiel dla tulipanów, a właściwie spodziewanych, przyszłych kwiatów i bezpośrednio potem poszedł do szkoły. W dalszym ciągu obecne lekcje już raz przerabiał, a więc nic nie tracił z powodu nieobecności, oczywiście z góry usprawiedliwionej. Zresztą, było oczywiste, że żaden z uczniów nie opuściłby bez bardzo ważnego powodu ani jednego dnia nauki. Nie musiał długo wyjaśniać sprawy – jechał dopełnić formalności związanych z przeniesieniem. Potem poszedł na rynek Łazarski i pozwolił sobie na małe szaleństwo, kupił cały mendel jajek, z tego pięć poszło na jajecznicę, bo jednak trzeba było się naczepać przed wyczerpującą podróżą, a resztę zostawił ojcu, oceniając że to będzie uzupełnienie dość jednostronnej diety, Ojciec sam nigdy by się nie zdecydował na taką rozrzutność – jedno jajko kosztowało właśnie tyle, co bochenek chleba, albo tulipan po zwyczaj. W ostatniej chwili, wyjął rośliny z kąpeli i zawinął ponownie w gazety, skropione wodą, zapakował do pudła. W dziesięć minut potem, siedział już w lokalnym pociągu, z którego przesiadł się następnie na transport wojskowy i tą samą trasą, chociaż tym razem z dwiema przesiadkami, w czwartek wczesnym rankiem, jeszcze przed wschodem słońca zeskoczył z platformy zaraz za mostem Romanowskim przed Ostrowcem.

Most kolejowy, położony powyżej zalewu Kamiennej i wysadzony w powietrze przez Niemców, został naprawiony prowizorycznie, żelazne pręśła i belki połatano drzewem i od tego czasu nic się nie zmieniło. Pociągi jakoś przezeń przejeżdżały, powoli i ostrożnie, zwalniając do około 10km/godz., czasem nawet do szybkości pieszego. Most głośno trzeszczał, protestował, chwiał się i ruszał, ale jakoś dotąd wytrzymał. Ponieważ mostu pilnowały posterunki, przygodni podróżni wskakiwali i wyskakiwali zwykle już po przejechaniu go, zanim pociąg znów przyśpieszył. Pierwszy raz, było trochę emocji, ale to doświadczenie miał

już Angus za sobą. Wyrzucił przed siebie teczkę i tekturowe pudło i sam wyskoczył, gdy tylko usłyszał cięższą pracę lokomotywy. Zeskoczyło tylko parę osób, Angus z wyższością spojrział na kogoś, kto przewrócił się, ale zaraz zerwał na nogi, przypominało to jego własny start przed niecałymi dwoma tygodniami. A z uznaniem na innego, który zeskoczył, przebieg kilkanaście kroków i zgrabnie podtrzymał zeskakującą dziewczynę, czy może kobietę. Pociąg nie przyśpieszył wiele, gdyż do stacji było zaledwie parę kilometrów, nawet gdyby się tam nie zatrzymywał, to i tak znowu musiał zwolnić. Wszyscy ruszyli dalej wzdłuż linii kolejowej w stronę miasta, tylko Angus pozostał i następnie ruszył w stronę Romanowa, a mianowicie drewnianego mostu drogowego na szczycie zapory.

Gdy zeskakiwał z pociągu, było jeszcze szaro, niebo wprawdzie niebieskie, lecz ciemne i tylko w dali, w kierunku Ostrowca, widać było długie i cienkie, prawie czarne pasmo chmur i pod nim jaskrawo żółtą smugę. Ale w ciągu tych kilkunastu minut, gdy ociągał się czekając aż miną go inni ludzie i potem szedł w stronę drewnianego mostu i zapory, rozjaśniało się bardzo szybko. Słońca wprawdzie jeszcze nie było widać, gdyż za łąkami teren się podnosił i nie wyłoniło się z za ciągu pagórków porośniętych lasem, ale dzień zapowiadał się piękny. Wskazywał na to również bardzo zimny ranek.

Nie był to więc zbyt mądry pomysł, gdy nie przechodząc na drugą stronę rzeki, szedł nad rozlewisko poniżej zapory. Szerokie i płytkie, gdzie zwykle kąpały się dzieciaki i kobiety, a on nauczył się pływać, bo potem już zawsze kąpał się w dużym i głębokim zbiorniku powyżej zapory. Ale tym razem nie chodziło o kąpiel. Po podróży w spartańskich warunkach (o ile akurat Spartanie potrafili też znosić zwykły brud), trzeba było się doprowadzić do porządku.

Angus wyjął z teczki żyletkę i mydło oraz mały ręcznik, resztę bagażu schował w krzakach, a sam zrzucił wierzchnią odzież i zaczął od intensywnego trzepania, po czym szedł z porośniętą wikliną wydm na piasek plaży. Nie pamiętał już z przed wojny, jak wygląda prawdziwe morze, ale mówiono, że to rozlewisko w pomniejszeniu je przypomina. Dla bosych stóp, nawet piasek był szokująco zimny, nie mówiąc już o wodzie. Ale najpierw zrobiło mu się gorąco, gdyż „skrobanie prosiaka” grubą i tępą żyletką wymagało samozaparcia i odporności na ból, tak mogli ćwiczyć wytrzymałość Indianie. Na szczęście wciąż jeszcze wystarczało, jeżeli golił się ze dwa razy w tygodniu, a gorąca woda zwykle zmiękczała zarost. Natomiast zimna była bardzo odpowiednia potem, dla lokalnego znieczulenia. Ale wejść do niej, to już coś innego. Gdy następnie rozebrał się cały i rozpoczął ablucje, zdołał dotrzeć do końca tylko dzięki temu, że przypomniał sobie, jak w wieku dzieciennym

mówił sobie, że jeśli coś wytrzyma, na pewno zostanie kiedyś wspaniałym wojownikiem. Fakt, że nawet w lecie kontakt zimnej wody z rozgrzanym słońcem ciałem wywołuje serie szoków. Angus nigdy nie zaliczał się do bohaterów, skaczących od razu do wody, z reguły maczał kolejno, ręce i ramiona, potem szyję, twarz i tors itd. Ale są szoki i szoki, to pojęcia względne. Teraz zanurzenie się w tej wodzie, na chwilę dosłownie pozbawiło go przytomności, musiała mieć sporo poniżej 10 stopni C, tak z 7-8. A przepłynięcie kilkunastu metrów i z powrotem to wszystko, na co mógł się zdobyć. Potem mały ręcznik pozwalał tylko na zgarnianie kropel po każdym wykręceniu, dosuszył się biegając i skacząc wzdłuż ścieżki nad piachem, ale nawet gdy ciało przestało być mokre, prawie nie czuł wciąganego na nie ubrania. Mimo to, po chwilowym wrażeniu ciepła, gdy zewnętrzne naczynia rozszerzyły się i wróciło naturalne krążenie, zaczął znowu się trząść w niekontrolowany sposób. To też drogę przez łąki do szosy, mimo wysokiej trawy i mokrych przeszkód, odbył ostrym marszem przerywanym biegiem, w rekordowym tempie. Przeskoczył pusta szosę, jeszcze kawałek niskiego terenu, z błotem i zalewającą go wodą i potem już ostro pod górę, w las. Kilkaset metrów dalej, wznosił się dom Jarugów. Było jeszcze na tyle wcześnie, że żaden ruch się w nim nie zaczął. Nie chcąc budzić i niepokoić domowników, Angus przeszedł na drugą stronę, do ogrodu, w stronę ławki w zagłębieniu, gdzie często grywali w szachy z Mateuszem, niemiłosiernie objadając różne odmiany szlachetnych śliw, stanowiących dumę profesora. Ten zaś dziwił się, że tak mało rodziły! Tym razem jednak, zostawił tam bagaż i przez furtkę przeszedł na polanę na szczycie pagórka, gdzie docierało już słońce i nawet grzało. Rozgrzewając się w międzyczasie dodatkowymi ćwiczeniami gimnastycznymi, doczekał, aż rozległy się skrzypienia drzwi i ruch koło domu. Ale i wtedy odczekał, aż profesor Jaruga pierwszy wyprowadził rower i zjechał w stronę szosy. Angus wolał nie zaskakiwać go, w końcu dopiero niedawno uciekł z pomocą tej rodziny i tak nieoczekiwany powrót mógł zostać uznany za nieracjonalny, krótko mówiąc za skrajną głupotę własną i narażanie ludzi. Wolał poczekać na Mateusza i za jego pośrednictwem, uprzedzić stopniowo rodziców.

\* \* \*

Mateusz wyszedł po dalszych 10 minutach i trochę się zdziwił. Angus wyjaśnił że przyjechał na krótko, dowiedzieć się, co się tu dzieje i czy nadal ktoś go szuka, za dzień, najdalej dwa wraca do Poznania. Czy

mógłby ten dzień, najdalej dwa, zatrzymać się tutaj? Bo jednak, woli nie pokazywać się w mieście.

- Gadanie – stwierdził Mateusz – najlepiej kojarzy się ze słowem śniadanie. Poczekaj chwilę, uprzedzę matkę, żeby nie sprzątała za stołu. Oczywiście, że u nas zostaniesz. Nawet gdyby ojciec marudził - a nie będzie - to przenocujesz jeszcze raz w skrytce między-dachowej, gdzie ukrywaliśmy się po powrocie z partyzantki. Ja to załatwię tak, że nikt nawet nie spostrzeże. A jak znam ojca, a ojciec ciebie, to nie powie złego słowa. Pozwól tylko mnie z nim pierwszemu porozmawiać. –

W domu Pani Jaruzyna rzeczywiście sprzątała ze stołu, teraz dołożyła nowych zapasów, a na wszelki wypadek dogotowała jeszcze kaszy na mleku. Trafnie oceniła sytuację. Potem Angus dostał koc i poszedł trochę zdrzemnąć się w ogrodzie. Mateusz, w drodze powrotnej ze szkoły, miał wstąpić do matki Angusa i uprzedzić, że syn przyjdzie, ale dopiero po zmroku, późnym wieczorem. Wprawdzie ani Mateusz, ani Prof. Jaruga nie słyszeli, aby ktoś się o Angusa jeszcze dowiadywał, w szkole też żadna władza nie zasięgała informacji. Wyglądało że nikt się już nim nie interesuje. Ale normalną praktyką okupacyjną było, że władze policyjne starały się mieć stałego szpicla w każdym zakątku. Za niewielką zapłatę miał on mieć oko na najbliższą okolicę i natychmiast donosił o wszystkim, co zauważył. Zwykle były to same bzdury, ale na pewno zwróciłyby uwagę na pojawienie się ludzi, których szukano, tym bardziej gdy zniknęli z widoku. Można było wprawdzie zgadywać, kto to robi, zwykle chodziło o tych samych, których wystrzegano się i za Niemców, ale trzeba zachować elementarną ostrożność. Tak więc Angus miał dopiero wieczorem odwiedzić znajomych i to okólnymi drogami, a w swoich stronach w ogóle się nie pokazywać. Na razie zaś, mógł trochę odpocząć.

Ułożył się na słońcu, osłoniwszy głowę i zaczął rozmyślać o sposobach przemieszczania się. Mnóstwo ludzi podróżowało, stawało się wprost koczownikami i łatwo było się w tym ukryć, ale fakt, że zabierało to dużo czasu i wysiłku. A gdyby tak spróbować wodą, wzdłuż rzek? Pamiętał, jak w jego klasie przed wojną, podróżowało się palcem po mapie na lekcjach geografii. Można by z Warty, przez kanał Bydgoski dojechać do Wisły i potem w górę, aż do Romanowa nad Kamienną, albo może Wartą w okolice Częstochowy, a stamtąd też już blisko. Tylko nie łódką, ani nawet kajakiem, ale przecież to Mateusz opowiadał mu (kiedy zrobiło się głośno o niemieckich rakietach V), że zbudował sam taką zabawkę z motorkiem pulsacyjnym, kiedy do rurki zaopatrzonej w żaluzję z przodu, kapała benzyna, zapalała się potem, powodując zamknięcie żaluzji i plucie wody i gazów z tyłu, potem nacisk spowodowany ruchem

otwiera znowu żaluzje i wszystko się powtarza, łódeczka skakała czasem kilka, czasem kilkanaście metrów, aż się przewróciła. Ale gdyby ktoś kierował takim urządzeniem, odpowiednio większym? Wiadomo, że ślizgacze mogą nawet przekroczyć 100 km/ godz. Ech, przecież wystarczyło by z 70- 80, w pół dnia mógłby dojechać z Poznania do Ostrowca albo odwrotnie. To musiałoby być coś całkiem lekkiego. A jak z przejazdem pod mostami? Przecież posterunki....

Angus obudził właściwie dopiero powrót Mateusza, był całkiem wypoczęty i odzyskał sprawność ducha i ciała, żadnych ujemnych skutków, ani ewentualnego przeziębienia. Co tu dużo mówić, młody organizm szybko się regeneruje, stary wykończyłby się po parę dniach. Po powrocie Profesora, zjedli razem obiad, prosty, ale o niebo lepszy, niż zwykle w Poznaniu. Angus zdał relacje, o sobie, o ojcu. O matce właśnie tu przyjechał się dowiedzieć. Wkrótce potem czas było iść. Trzeba tu wyjaśnić, że Angus ani słowem nie wspomniał o kwiatach, ani w ogóle nie ujawnił przywiezienia tekturowego pudła. Czekają ono ukryte w kępie krzaków poza ogrodem, gdyż szczerze mówiąc Angus obawiał się, że z jego strony to gest trochę śmieszny i zostanie wykpiiony. W tym czasie, Angus dwa razy kąpał kwiaty, raz na jeszcze na Romanowie i po raz drugi pod pompą w ogrodzie, gdy był pewien, że Pani Jaruzyna zajęta jest w domu i może zrobić to dyskretnie, a potem wyniósł na zewnątrz i zamaskował pakunek. Ale nawet i tak, obawiał się trochę, że nawet wobec dziewczyny może się wygłupić i kto wie, czy się na to zdobędzie. Poza tym, choć kwiaty trochę przyszły do siebie, wciąż wyglądały, jak lekko przechodzone.

Szedł bardzo okólnymi drogami i miedzami, właściwie pomijając zamieszkałe ulice i dobrze po ponad godzinie szybkiego marszu, dotarł go do zarośniętego ogrodu Sójków, gdzie znowu dyskretnie odstawił pudło z boku. Z kolegów, tylko Bobek Sójka wiedział o jego przyjeździe do Ostrowca, dyskretnie poinformowany przez Mateusza na przerwie. Czekał w domu, a już zaprosił do przyścia pozostałą dwójkę inicjatorów konspiracji na godzinę w pół do szóstej. Ale jeszcze przedtem Angus chciał zobaczyć się z dziewczyną, więc wywołali ją z sąsiedniej posesji, po czym Bobek zostawił ich samych. Hanka była zaskoczona, ale i wyraźnie zadowolona, więc po kilku dosyć kulawych zdaniach, Angus wykrztusił, że właściwie zabrał z Poznania trochę kwiatów, nic nadzwyczajnego, ale obawia się, że po drodze pewnie się zmarnowały. Nigdy dotąd nie miał okazji ofiarować komuś kwiatów, za wyjątkiem tzw. oficjalnych okazji jako dziecko, typowo kobieca reakcja go zaskoczyła. Potem miał już okazje obserwować, że płeć piękna przy takich okazjach,

przestaje chwilowo dostrzegać ofiarodawcę, a pędzi z kwiatami do wody. Hanka zajrzała, powiedziała że mimo wszystko kwiaty są piękne i bardzo



dziękuje, a ona na pewno potrafi je odratować, tylko na chwile musi teraz odejść. Ledwie zdążył zawołać, żeby nie wstawiała ich do wody, ale na początek całe je zanurzyła. Nie było jej długo, trzeba było wołać ją na zebranie organizacyjne.

Angus krótko zreferował swoje obserwacje z Poznania. Spotkał się dokładnie z takimi samymi nastrojami, jak tutaj, pełne poparcie dla Rządu Emigracyjnego i struktur podziemnych, choć te są zupełnie niewidoczne, ludzie ich szukają a młodzież chce uczestniczyć po stronie naszych organizacji w oporze przeciw władzom narzuconym przez okupanta. Prawdopodobnie w Wielkopolsce ludzie są jeszcze bardziej zdecydowani. Wszyscy wierzą, że zmiana musi nieuchronnie nastąpić. On w nowej szkole, już się zorientował się, ma możliwość zawiązania tajnej organizacji i proponuje, żeby to była filia tej, którą utworzyli tutaj, w gimnazjum ostrowieckim. Oczywiście, zależy to od zgody koleżeństwa. Nie miał dotąd kontaktu, ale przypuszcza, że nic się nie zmieniło i organizacja nadal istnieje i działa, teraz można by ją rozbudować.

W tej sprawie wypowiedział się Bogdan. – Oczywiście, że organizacja istnieje nadal, a zamiary i nastrój nie uległy zmianie i daj Boże, nigdy nie ulegną. Dotąd obowiązywał taki model, my czworo stanowimy wewnętrzne ogniwo, dalszy stopień to grono nowych członków, z wybieraną radą ośmiu osób, to znaczy że my stanowiliśmy dokładnie połowę, zapewniając sobie w ten sposób decydujący wpływ, a ci dalsi członkowie mieli z kolei rozbudowywać grupy o programie półlegalnym, w rodzaju kółek samopomocowych z silnym akcentem patriotycznym i moralnym, wzorując się na filaretach i filomatach. Tymczasem otwarło się obecnie nowe, wielkie pole do działania, w

którym zaangażowani są obecnie prawie wszyscy członkowie naszej organizacji: odrodzenie Harcerstwa. Praktycznie cały Hufiec Ostrowiecki podlega wpływom naszej organizacji, większość funkcyjnych stanowią nasi członkowie i ta działalność zabiera ich cały czas i siły. Nie przewidzieliśmy tego we wszystkich szczegółach, ale przecież to jest dokładnie zgodne z naszymi ogólnymi planami, a taka forma legalnej działalności to wyjątkowa okazja. Z tej wychowanej w duchu patriotycznym młodzieży będziemy w przyszłości czerpać nowych członków. Z drugiej strony, przecież walki zbrojnej w tej chwili nie możemy rozpocząć, ani w ogóle aktywnej walki z ustrojem, nie mamy ani potrzebnego doświadczenia, ani wiedzy fachowej. Kiedy rozpocznie się otwarta walka o odzyskanie niepodległości, pokierują nią wyznaczeni do tego ludzie z kwalifikacjami, a my i podobne organizacje zapewnimy im poparcie i ludzi. Do tego czasu, rozpoczynanie otwartej walki byłoby niewybaczalną głupotą, prowadziło do dekonspiracji i ofiar wśród patriotycznej młodzieży. Na tym etapie jest to jedyne racjonalne i słuszne działanie. Co do planów Angusa, to są chwalebne i uważam, że ma prawo reprezentować naszą ideę i rozszerzać ją. Ale podobnie jak nasza wewnętrzna grupka rozpoczęła tworzyć organizację jako jej utajnione wewnętrzne ogniwo, Angus może działać nieformalnie bez dodatkowych deklaracji, uchwał i struktur, na podstawie naszego wzajemnego zaufania. Nie ma potrzeby, żeby ew. filie utrzymywały ze sobą stałą łączność, wystarczy kontakt przez osobę Angusa, który w odpowiedniej chwili, to znaczy gdy od tworzenia struktur konspiracyjnych przejdziemy do powszechnej walki, umożliwi nawiązanie łączności. –

Rzeczywiście, coś się zmieniło. Bogdan wyrobił się na rzeczywistego przywódcę i fakt, zasługiwał na to, wykazał fantastyczne zasoby energii. Z drugiej strony, Angus widział początki, a obecnie ten kierunek okrzepł. Angus też osiągnął to, co sobie życzył. Żałował tylko jednego, że nie miał żadnego doświadczenia harcerskiego, gdyż osiągnięcia były imponujące, ale gdyby on się przyłączył, to raczej na nic by się nie przydał. Zresztą za rok, gdy rozpoczną studia, miał nadzieję, że spotkają się wszyscy w Poznaniu. W każdym razie rozmawiali o tym i tak zaplanowali.

Po wyjaśnieniu tych spraw, udali się jeszcze wszyscy razem na cmentarz. To już była całkiem oddzielna sprawa, która dotyczyła tylko ich czworga, a nie miała związku z konspiracją ani sprawami organizacyjnymi itp. W jednym ze starych grobów, znajdował się skład materiałów wybuchowych, ukradziony czy raczej zdobyty z magazynów niemieckich, częściowo w ostatnich dniach przed wycofaniem się Niemców, a częściowo bezpośrednio potem. Potężny ładunek, ponad 400

kg trotylu w kostkach po 400g, nieco kostek 200g i 16 min talerzowych do zwalczania pojazdów opancerzonych. Kiedyś jeszcze Ponury miał powiedzieć, że kilku saperów z dobrym zaopatrzeniem wartych jest dla oddziału partyzanckiego prawie tyle, co bateria artylerii. Tutaj zaś znajdował się prawdziwy skarb, więcej niż dysponowały wszystkie patrole Wachlarza i może nawet z dodatkiem tego, co zużyto w akcji Wieniec. Najsłabiej licząc, taki zapas, odpowiadałby przy wymianie co najmniej 200 karabinom.

W czasie wojny, cmentarz ten, to znaczy niektóre stare groby, wykorzystywano do przetrzymywania żywności na pobliskim kirkucie i następnie do getta. Mieszkańcy pobliskich domów, między nimi także Bogdan i Hanka, widywali czasem sylwetki przekradających się po godzinie policyjnej i zmiernych ludzi, mówiło się też o tym w okolicy. Podobno byli to nie tylko członkowie ruchu oporu, ale także sporo zwykłych przemysłowców i handlarzy, z niektórymi lepiej było się nie stykać. Hanka raz nawet zauważyła takich wyłaniających się dosłownie z pod ziemi mężczyzn, ale na zaproszenie do obejrzenia ich kryjówek, wołała uciec. Jednak, to naprowadziło ich na myśl, żeby odszukać taki wykorzystywany kiedyś do przetrzymywania, stary grób, by ukryć tam trotyl i miny. Ponieważ jednak, mimo poszukiwań, tego grobu nie znaleźli, ostatecznie wybrali sami inny, jeden z dużych, murowanych i od dawna nie używanych grobów (robił wrażenie zaniedbanego, chyba od lat nikt go nie porządkował ani się nie opiekował, a z napisów wynikało, że ostatni pochówek miał miejsce ponad 50 lat temu). Tam resztki nieboszczyków przesunięto na jedną stronę – właściwie do frontu, a za nimi ustawiono mur z kostek trotylu i ułożono miny talerzowe. Biorący w tym udział młodzi ludzie postanowili, że to całkiem oddzielna sprawa, nie ma związku z organizacją. Nawet w razie aresztowania ani ew. wpadki, o materiałach wybuchowych nigdy nie wspomną. Natomiast ten z nich, kto dożyje, przekaze magazyn przyszłemu Wojsku Polskiemu już w wolnej Polsce, ewentualnie najbliższemu oddziałowi powstańczemu. Klucze do nowej, chociaż sztucznie postarzonej i mocnej kłódki mieli przechowywać mieszkający w pobliżu Bobek i Hanka, ale każdy miał prawo decydować we własnym sumieniu, a kłódkę w razie czego rozbić.

Prawdopodobnie dzisiaj tak sytuacja może wydać się melodramatyczna, ale wówczas to była po prostu część ówczesnej rzeczywistości. Ci młodzi ludzie czuli się, jak strażnicy Świętego Graala. Obecnie poszli tam nie dlatego, żeby przekonać się, że wszystko jest w porządku, o tym powiadomili ich i tak wcześniej ci, mieszkający w pobliżu, ale także po to, aby jeszcze raz powtórzyć i dobrze zapamiętać miejsce i drogę. To było ogromnie ważne, nigdy nie za dużo powtórek.

Na miejscu, zatrzymali się tylko chwile. W swoim czasie Gienek Forlański zaproponował, żeby za każdym razem odmówić krótką modlitwę za dusze tych, których tutaj pochowano. Przecież zakłócili ich spokój, przenieśli resztki – co prawda w stanie wyższej konieczności i nie z żadnych celów osobistych, ale pobudek patriotycznych – jednak należało przynajmniej okazać szacunek.

Gdy wracali do domu, właściwie domów przy dwóch rogach ul Ogrodowej, nagle Gienek powiedział, że ma jeszcze coś pilnego do załatwienia w mieście. Chwilę później Bobek przypomniał sobie, że matka go potrzebuje i obiecał szybko wrócić, więc popędził przodem. Hanka i Angus wracali wolnym krokiem, trzymając się za ręce, jak para grzecznych dzieci. Hanka była przejęta i oczy jej świeciły, wyrzucała szybko słowa, dotyczyły kwiatów: przychodzą do siebie i mają się coraz lepiej, ułożyła już trzy bukiety po tuzinie, a jeszcze kilka tulipanów leży w wodzie i też może odżyją, powoli Takich kwiatów jeszcze nie widziała, wszyscy przychodzą oglądać, podziwiają i chyba jej zazdroszczą.

Angus był lekko zaskoczony. Nie miał dotąd doświadczenia, żadnej kobiecie czy dziewczynie nie ofiarował kwiatów, chyba w wieku dzieciennym i na polecenie rodziców, zwykle po uporczywej lecz daremnej obronie. Starsze panie zwykle go potem obśliniały, czego nie cierpiał. Tym razem, zrobił to tak jakoś, bez długich rozważań i namysłów, nie przykładając do tego większej wagi. Przypadkiem zostało mu trochę kwiatów, które wyglądały na zupełnie nie rozwinięte, raczej zadatków na kwiaty. Przyszedł mu do głowy pomysł, że jak pojedzie do Ostrowca, mógłby ofiarować je dziewczynie. Ale wcale nie był pewny, czy to dobry pomysł, czy go nie wyśmieje. Podobnie obawiał się, że kpić będą wszyscy krewni i znajomi zarówno jego, jak i królika, więc ukrywał się z tym przed wszystkimi ze całych sił.

W tym miejscu nie mógł powstrzymać uwagi, że było by lepiej, gdyby powiedziała, że kwiaty, na przykład znalazła na schodach domu, podrzucone przez nieznanego wielbiciela. Przecież on jest tu ukrywającym się zbiegiem i jakiegokolwiek komentarze o jego osobie są bardzo nie w porę. Przez chwilę zupełnie popsuł jej radosny nastrój, tym bardziej, gdy uświadomiła sobie, że te słowa są uzasadnione. Pochyliła głowę i Angusowi zrobiło się jej żal. To było dobre dziecko, ale jeszcze dziecko, na chwile zapomniał o tym.

Jest faktem, że oboje się nie rozumieli. Angus był zawsze złym psychologiem i nie rozumiał innych, a płci przeciwnej zupełnie. Prawie zawsze działał według własnych wyobrażeń, nie zdając sobie sprawy, że często nie mają one nic wspólnego z otaczającą go rzeczywistością i prawdziwymi ludźmi. Co prawda, w klasie gdzie po raz pierwszy zetknęli

się młodzi ludzie i dziewczyny, nie tylko on jeden miał te problemy i może tym razem łatwo przystosował się do nowego środowiska. Na pozór, pasował i prezentował się nieźle. Przystojny nigdy nie był, ale wysoki, duży chłopak należał do lepszych uczniów, choć najmłodszy. Poza tym, miał sporo różnych doświadczeń i widział różne strony życia, choć o nich milczał. Z natury dość żywy, a przy tym bardzo odczytany, na pierwszy rzut oka mógł się podobać dziewczynom, tracił dopiero po bliższym poznaniu. Hance na początku trochę zaimponował, była niedoświadczona i dziecinna, chociaż starsza. Miała szczęśliwe dzieciństwo i była rozpieszczana w rodzinie, zwłaszcza przez ojca.

To też jego aresztowanie i obóz koncentracyjny stanowiły dla niej szczególnie ciężki szok, a potem tragedię. Przez długi czas nie mogła się z tym pogodzić i sama pragnęła umrzeć, może i przejściowa egzaltacja, ale spontaniczna i szczerą. Nie potrzebowała kochanka, a raczej opiekuna, który przypominałby ojca i mógł go zastąpić, dając więź uczuciową a nie fizyczną. Angusem się zainteresowała, ale bieg wypadków to przerwał. Choć bezpośrednio przed wyjazdem, Angus zadeklarował swoje uczucia i ustalili pewne wstępne zobowiązania, to znaczy że na siebie poczekają i będą starali odnaleźć. W gruncie rzeczy nic istotnego, to co zwykle się mówi w takich sytuacjach. Jednak teraz, niespodziewany i tajemniczy przyjazd stawiał go w romantycznym świetle, a do tego przywiózł jej kwiaty. I to jakie kwiaty, takich jeszcze nie widziała, ani nikt z jej otoczenia. Wielki, holenderskie tulipany, jakich tu nie było.

Angus nie rozumiał, że dla dziewczyny to był jakby awans, poczuła się pasowana na damę, choćby tylko w oczach rodziny. Dlatego chciała o tym mówić, wdzięczność ją rozsądzała jakby ktoś nagle zamienił ją z kopciuszka w królowną, okazał, że jest ogromnie ważna. Była w tej chwili najbliższa wzajemnego zakochania się w Angusie. No tak, ale zauważyła to również matka i zaniepokoiła się. Właśnie Angus usłyszał, że prosi go do domu na kolację.

- Nie mogę – powiedział - nie widziałem jeszcze własnej matki, a zapowiedziałem się, ona mnie oczekuje. Juro, albo kiedy indziej.-

Ale spojrzawszy na twarz Hanki, dodał zaraz: - Oczywiście, że Cię odprowadzę i chętnie wstąpię do domu, chętnie zostanę też na herbacie, ale na kolacji naprawdę, nie tym razem. – Poczł się trochę zaniepokojony, czyżby te kwiaty potraktowała jako oświadczenia? Przecież nic takiego nie powiedział, ani nie dał żadnego powodu do takiego rozumienia. Obecnie nie mógł założyć rodziny, miał walczyć. To był jego obowiązek i najważniejszy cel życiowy, mógł przy tym zginąć. W

takiej sytuacji było wielu ludzi, także związanych uczuciem, a na razie musieli poczekać i nie zawsze się doczekali. Jak to na wojnie.

Jednak te obawy były nieuzasadnione. Matka Hanki, po podwieczorku poprosiła, że chce z nim pomówić na osobności i powiedziała dokładnie to samo, co myślał Angus: że przecież są za młodzi nie mają ani warunków, ani możliwości, żeby zakładać rodzinę. Najpierw muszą się uczyć i potem zapewne studia, w najlepszym wypadku mają kilka lat czasu. I dodała, że obawia się o córkę, która bardzo przeżyła utratę Ojca i kto wie, czy nie na stałe, bo oni oczekują i ciągle dowiadują się o powracających, a jego wciąż nie ma. Według ostatnich wiadomości męża widzieli koledzy w kolumnie pędzonych więźniów już za Śląskiem przy końcu kwietnia, szedł jeszcze, ale był wycieńczony i słaby. W Bogu nadzieja, może choruje i gdzieś odzyskuje siły, ale jeśli nie, to woli jeszcze nie myśleć o innych możliwościach, sama nie wie, jak da radę odchowac dzieci i pomóc im w studiach, bo wszystko stracili, mogą im teraz nawet zabrać dom rodzinny. Była już komisja twierdząca, że dom i ogród są zapisane na nią oszukańczo, naprawdę stanowią one część Zakładów Mechanicznych i tutaj znajdują się biura. Więc prosi Angusa, żeby nie namówił córki do jakiegoś głupstwa, żeby się za bardzo nie zaangażowała, bo gdyby po raz drugi przeżyła ona tragiczne wydarzenia, mogłaby tego nie wytrzymać.

Angus zapewnił, że całkowicie podzieli to zdanie, to znaczy w pierwszej części. Absolutnie chce, to znaczy oboje pragną zachować się rozsądnie i odpowiedzialnie. Nie jest sekretem, że odczuwa do Hanki głęboką sympatię, ale rozumie sytuację i w żadnym wypadku nie stworzy problemów, ani nie będzie Hanki namawiał do nieodpowiedzialnych kroków. Przeciwnie, pragnie okazać się jej pomocą i podporą, także w przyszłości i na studiach. Mają nadzieję, że może w Poznaniu, a na razie chcą na siebie czekać. Wielu młodych planuje wspólną przyszłość, nie ma w tym nic złego i ma nadzieję, że kiedyś to nastąpi. Daje słowo, że w żadnym razie nie będzie wyprzedzał czasu i dziewczynę uszanuje. Co do reszty, to głęboko współczuje wszystkim i tym bardziej będzie starał się, nie stwarzać żadnych komplikacji swoją osobą. Ma nadzieję, że wszystko obróci się na dobre. Jeszcze raz zapewnia, że w miarę swoich możliwości, będzie o dziewczynę dbał i starał się być pomocny, choć teraz nie wiele może. Chyba został zaakceptowany, chociaż oficjalny status to nie był, po prostu zgoda matki na tzw. chodzenie ze sobą. O konspiracji, oczywiście nie padło ani słowo.

O zmroku już, Angus szybkim krokiem wracał najkrótszą drogą, Ul. Pierackiego i następnie przez błonia, kawałek lasem od strony kościoła, gdzie przeskoczył pustą szosę i zaraz zagłębił się w młody las po

przeciwnej jej stronie. W pobliżu bursy zszedł na dół i tam dopiero zawrócił, od strony lasu zbliżając się do furtki na dole, prowadzącej na teren posesji, gdzie od frontu przy szosie mieszkali kiedyś wszyscy, a teraz pozostała sama matka. Z tego, co się dowiedział, dom nie był w żaden sposób pilnowany, ale ostrożności zawsze lepiej za dużo, niż za mało. Szedł z dołu ścieżka między drzewami, licząc na swój wzrok, a konkretnie na zdolność widzenia po ciemku. Przez długi czas nie zdawał sobie sprawy z tej własności, lecz raczej z defektów. Miał się za krótkowidza z powodu ciągłego trzymania nosa w książkach. Niespodziewanie w partyzantce koledzy nabrali do niego zaufania i potem już zwykle, po ciemku i w trudnym terenie, chodził z przodu. Stopniowo nauczył się też włączać w to i inne zmysły. Teraz też, kroczył cicho po kilkanaście kroków, po czym zatrzymywał się i nadśluchiwał, rozglądając się i starając wyczuć, czy nie zauważy czyjejś obecności. Ale było cicho i pusto, nie wyczuły nawet pobliskie psy, a wiadomo, że przewyższają znacznie człowieka. Tak minął ogrodzony las, szopki i zabudowania gospodarcze, tylny dom i stopniowo przesunął się wzdłuż przedniego, po czym dość cicho, ale w zwykłym rytmie zapukał do bocznych drzwi. Otworzył się one i znurkował do ciemnego wnętrza, nie pewny co znajdzie w środku, ale tam czekała tylko matka. Zamknęła drzwi i zapaliła światło, ale nie w korytarzyku, a dopiero w kuchni.

Czekała długo i już się niepokoiła, ale nie miała pretensji, późną godzinę tłumacząc ostrożnością. Tylko piec już wystygł a jedzenie ledwie ciepłe – chciała Angusa nakarmić, ale odmówił stanowczo, najważniejsza była rozmowa. Zdał relację, swoje dzieje i jak urządzili się w Poznaniu. Ma jej przekazać, że ojcu udało się załatwić przewóz, kolej da do dyspozycji całe pół wagonu towarowego. W tym czasie było to wyjątkowo trudne do załatwienia, to też sprawa się jeszcze przewleka, bo mimo układów i poparcia, transport nadal jest niewystarczający i ciągle się rwie, a różne instytucje mają bezwzględne pierwszeństwo. Ale w końcu kolejarze muszą sobie wzajemnie pomagać, chociaż trzeba będzie czekać na okazję i jeszcze sprawę forsować. W każdym razie, Angus miał przekazać, że w ciągu najbliższych kilku tygodni otrzyma z Wydziału Ruchu PKP w Ostrowcu, a dopomóc przy przeprowadzce, obiecali Angusa koledzy. Niech więc mama już zbiera i segreguje, co zamierza zabrać.

Mama odpowiedziała, że już się do tego zabrała i na przykład wyrzuciła na początek całe laboratorium Angusa. Przy okazji, było trochę sensacji, które wystraszyły i gospodarzy i innych lokatorów. Mianowicie gdy je rzucała na śmietnisko, stłukły się butelki z kwasami, między innymi z kwasem azotowym Hoco. Wyglądało to bardzo malowniczo, gdy

nawet mierzwa na górze zaczęła się palić i buchnęły chmury brązowego dymu. Na szczęście Adam Szumigaj widział co się dzieje i jako laborant chemiczny znając się na tym, wiedział co zrobić i uspokoił też innych. Zabawne, przecież to właśnie Adam dostarczał mi potajemnie te kwasy.

Matka nie chciała z początku przyjąć zwrotu pieniędzy, które wysupłała, wspierając ucieczkę Angusa, ale była mniej stanowcza od Ojca. Ostatecznie, kiedy pokazał że ma ich wyjątkowo dużo, powiedziała, że tylko głupi nie bierze, jak dają i zgodziła się przyjąć z powrotem swoje 300 zł, a po długich naleganiach, sporach i oporach, jeszcze 200. To wystarcza jej aż nadto na wszystkie wydatki tutaj i w podróży – stwierdziła – zwłaszcza, że część mebli i innych rzeczy po trochu wyprzedaje. Ale teraz, wiedząc, że będzie miała miejsce na przewóz, zwolni tempo. Od początku chciała zabrać część mebli, tym bardziej, gdy obecnie dowiaduje się, że mieszkanie odzyskali, ale puste. Nie licząc paru sprzętów znalezionych przez Ojca, brak najniezbędniejszych rzeczy.

Na koniec, dała Angusowi zaświadczenie z gimnazjum i liceum im. J. Chreptowicza w Ostrowcu do przedstawienia w nowej szkole w Poznaniu. Napisane rzeczowo i przyjaźnie, stwierdzało, że Angus od chwili otwarcia uczęszczał do klasy I liceum matematyczno-przyrodniczej, wykazał się jako dobry i zdolny uczeń o wysokim poziomie wiedzy i zdał w tym czasie egzamin sprawdzający z zakresu czterech klas gimnazjalnych. Z wyjątkiem zoologii w zakresie klasy I, z braku czasu z tego przedmiotu jeszcze nie został przepytany. Oczywiście, od razu zgadł, czyja to ręka pisała – „nuu, eugleena...”. Prof. Mazzurewicz znał przecież Angusa doskonale, na lekcjach biologii wielokrotnie wymieniał, jako najaktywniejszego i chwalił poziom, a w czasie wojny uczył go w 1941 i 42 roku. Bóg z nim, porządny i kryształowy człowiek, ale zawsze był formalistą do granic manii. Domagając się świadectwa ukończenia szkoły powszechnej w 1942 r. omal nie spowodował wysłania Angusa na roboty do Reichu, a zdawanie egzaminu na prawo jazdy jak istotna część kursu fizyki IV kl. gimnazjum przeszło do anegdoty. Prof. Mazzurewicz zawsze postępował wg sumienia i przekonania, nie było mowy, żeby odchylił się od wytkniętej linii, a może po prostu nie było szansy, żeby zmienił się na starość, proces zwapnienia nie pozwalał. Z drugiej strony, to jednak nie był uczciwy komentarz, bo tak naprawdę Mazzurewicz trzymał się ściśle prawdy. Owszem, jaszcz przed rozpoczęciem nauki na kompletach, przepytał go z programu II klasy gimnazjum, w tym także dość pobieżnie z matematyki, ale do I klasy nie wracali. Zoologię z pierwszej klasy przerobił Angus właściwie tylko z ojcem, który trzymał się ściśle podręcznika. A kiedy przeszła uraza, powodowana wymaganiami dosłownego trzymania się tekstu, przeczytał książkę jeszcze parokrotnie,

o książki było trudno, a ta należała do ciekawych. W tym wieku ma się dobrą pamięć, zwłaszcza do książek, nie przewidywał więc trudności. Czyli wszystko w porządku dodatkowo egzamin na ten temat powinien zdać z marszu bez straty czasu, a mieć pretensje do Mazzurewicz, że jest skrupulatny i nie upiększa faktów, byłoby absurdem. Ale, nigdy nie należy czuć się zbyt pewnym.

Po powrocie do Poznania i gdy nadeszła ta chwila, zamiast ciekawej pogawędki dostał pierwsze pytanie o obleńce i pierścienice, jakie zna różnice, a jakie może wymienić cechy wspólne. Właściwie pytanie nie zbyt trudne, ale odpowiedź – trochę go zatkało na samym początku. Ale przypomniał sobie jakiś artykuł popularno naukowy o wyjątkowych własnościach ich białek, dla ludzi są one strawne w 98-99%, w porównaniu, mięso ssaków wykorzystywane jest, powiedzmy do ok. 75%. A więc wyjątkowe miejsce w łańcuchu pokarmowym w ogóle itd. itd. Na uwagi reagował potakiwaniem, ale po paru słowach znowu wracał do tematu, jaką rolę odgrywają nawet dzisiaj, w odżywianiu prymitywnych szczepów. Po pokonaniu uprzedzeń, będzie to kiedyś najbardziej racjonalne pożywienie przyszłości. Po chwili egzaminatorka, którą w Marcinku była wtedy nowa i młoda absolwentka biologii, jakoś straciła apetyt na dalszą rozmowę, przerzuciła się na chlebnię bałtycką, o której Angus wiedział sporo, potem na wyższe zwierzęta i wszystko szczęśliwie się skończyło

Angus przyszedł późno, a mieli sobie sporo do powiedzenia, zwłaszcza matka, więc minęła już północ, kiedy się pożegnał. Cekał go jeszcze ok. godzinny marsz do domu Jarugów. Poczekał parę minut na progu, aż oczy przywykną do ciemności, ruszył znaną i wielokrotnie przemierzaną drogą wzdłuż szosy, ale obok, na skraju drzew. Z pewnym zażenowaniem przypominał sobie potem, że ani w czasie drogi do matki, ani od niej, jakoś cały czas myślał tylko o dziewczynie, a jeśli chodzi o matkę, przelotnie. Ale nie zdołał w żaden sposób uporządkować natłoku myśli, ani dojść do konkluzji. Zdał sobie sprawę tylko z jednego: znowu jego wyobrażenia mijają się z rzeczywistością, a świat realny jest zupełnie inny.

Angus doszedł w środku nocy do cichego i ciemnego domu Jarugów, nie budząc nikogo znalazł klucz i bezgłośnie wszedł na górę, do skrytki między-dachowej, gdzie znalazł położoną przez kolegę pościel. Ale jeszcze długo nie mógł usnąć, myśli kłębiły się mu w głowie i wciąż nie mógł dojść do żadnej konkluzji. Oprócz jednego, że jej matka miała słuszność i słowa musi dotrzymać. Dziewczyny nie uwiedzie, ani nie będzie szukał teraz okazji. Ani nie może jej narażać.

Jednak przed wyjazdem, Angus wstąpił jeszcze do dawnego dostawcy, z czasów gdy prowadzili piwiarnię, obecnie zamkniętą. Kiedyś, gdy pomagał prowadzić rodzinny lokal, przynosił zaopatrzenie od kilku takich dostawców, głównie bimber. Ale to była życiowa konieczność, która pozostawiła trwałą odrazę do alkoholu. Natomiast w okresie niemieckiej okupacji, produkowano także nielegalnie papierosy, między innymi tzw. „bezimienne”, z jasno żółtego tytoniu lubelskiego lekko aromatyzowanego – znakomite, o niebo lepsze zarówno od monopolowych, jak i sprowadzanych z Niemiec. Przyszło mu więc do głowy, że mógłby te papierosy zawieźć do Poznania. Palono tam bowiem bardzo podłe gatunki, kto wie, czy nie da się powtórzyć tak znakomitego interesu, jak z kwiatami. Tamten był pierwszy udany, dopingował do nowej inicjatywy. Lecz okazało się, że produkcja nielegalnych papierosów się skończyła, nie tylko nie ma dobrych gilz, ale brakuje nawet bibułki. Każdy skręca sobie sam, często w gazetę.

No cóż, skoro nie ma papierosów, Angus kupił 10 kg lubelskiego tytoniu „Virginia”. W Poznani nie miał kłopotu ze sprzedażą i trochę zarobił, bieżące wydatki się zwróciły, ale żaden business to nie był.

Teraz już, wczesnym wieczorem, udał się w stronę Mostu Romanowskiego. Dalsza podróż miała normalny przebieg, a przy dobrej pogodzie na otwartych wagonach jechało się dość przyjemnie. Do domu dojechał w niedzielę rano. Ojca już nie zastał, pojechał do Chomęcic, na jedyny dobry obiad tygodnia i partyjkę preferansa. Angus po odpoczynku, pierwszy raz obszedł Poznań pieszo, ul Kolejową przez tunel do Dębca. Ta część Poznania była mniej zniszczona, a w kolonii przy



Górnej Wildzie, w wewnętrznej osadzie domków szeregowych z ogródkami mieszkało troje jego kuzynów, których rodzice nie przeżyli. Opiekowała się nimi macocha, a czasowo zakwaterowały studentki, Stefa

i Bożena z Chomęcic. Wrócił „bimbą”, do Bramy Wildeckiej i znów pieszo, przez śródmieście, oglądając zniszczenia.



Biblioteka Raczyńskich



Ratusz